Nr. 79. Lwów — Piątek dnia 5 Kwietnia. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 8 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „

Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach it. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 zlr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „

Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: 7 Boleści NMP. Zacharya Prep.
Jutro: św. Celestyna Błah. P. Boh.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 5 m. 39
Zachód „ 6 „ 29

Długość dnia g. 12 m. 50
Przybyło dnia od wczoraj m. 2

Przegląd polityczny.

Lwów 4 kwietnia.

Belgia znowu znajduje się w stanie niemal jawnej rewolucyi. Od soboty ludność robotnicza stacza z wojskiem bójki, trzy okręgi administracyjne, najbardziej przemysłowe, mianowicie: gandawski, charleroiski i renaiski oddano pod zarząd wojskowy, w Gandawie robotnicy pokonali gwardyę narodową i oddział konnych żandarmów, poczem proklamowali republikę z rządem wykonywanym bezpośrednio przez wszystkich mieszkańców. To samo się powtórzyło w Tournai. Jednak w obu tych miejscowościach rewolucya tryumfowała zaledwo kilka godzin, bo nadeszły regularne wojska, z których pomocą przywrócono legalny porządek. W samej Brukseli ludność tak się burzy, że musiano powołać pod broń drugą klasę gwardyi obywatelskiej, oraz ściągnąć kilka pułków jazdy i artyleryi, a od niedzieli zamknięto wojskiem tę dzielnicę, w której znajdują się: pałac królewski, parlament i gmachy ministeryalne. Z powodu tych zarządzeń zainterpelował prezesa gabinetu Burleta socyalistyczny deputowany Anseele, dowodząc, że rząd prowokuje ludność i żądając parlamentarnego śledztwa w sprawie mordów popełnionych przez wojsko w wymienionych wyżej miejscowościach. Burlet odrzekł, że prowokatorami rozruchów są socyaliści, i że jeśli w potyczkach padło kilku robotników, to jeszcze więcej żandarmów i żołnierzy. Śledztwo rzeczywiście jest potrzebne i będzie dokonane przez sąd, a nie przez parlament, jednakże minister nie odmawia deputowanym prawa dyskusyi nad tą sprawą, owszem pragnie jej, ale dopiero po uspokojeniu kraju, a to przedewszystkiem dlatego, by rząd mógł zebrać dowody przeciw agitatorom socyalistycznym, jak również dlatego, że przyczyna zaburzeń, t. j. ustawa o ordynacyi gminnej musi być usunięta przez prędkie uchwalenie rządowego projektu. Nad tą odpowiedzią szefa gabinetu wywiązała się gorąca rozprawa i tu po raz pierwszy stronnictwo chrześcijańsko-socyalne jawnie stanęło po stronie socyalistów, a nawet poszło dalej od nich, bo oświadczyło, iż celem śledztwa parlamentarnego powinno być oddanie rządu i dowódców wojskowych pod sąd, albowiem gdyby nie ogłaszano stanu oblężenia i nie puszczono wojska na ludność, toby nie było zabitych. Zdaniem tego stronnictwa, władza państwowa nieprawnie wmięszała się w zatargi robotników z fabrykantami. Tkacze w Renaixie zburzyli przędzalnie parowe, węglarze w Charleroi pościerali szyby, szklarze w Gandawie rozsadzili dynamitem piece i zbili tych robotników, którzy nie chcieli zaniechać roboty. Wszystko to są fakta, których nie zaprzecza stronnictwo chrześcijańsko-socyalne, ale ono jest przekonane, że to są skutki złego układu społecznego, niesprawiedliwości kapitalistów i zależności urzędników od mieszczańskiego społeczeństwa. Naród sam szuka naprawy tych stosunków i niechybnie ją znajdzie, byle mu nie przeszkadzała przemoc rządowa, która sama nic nie naprawi, bo nie jest do tego zdolna, a tylko swemi zarządzeniami wstrzymuje bieg historyi. W ciągu tych wywodów chrześcijańsko-socyalnych prezes gabinetu Burlet rzucił kilka uwag bardzo znaczących. Już nie groził, jak dawniej, dymisyą rządu, nie wspominał o tem, że dokonane niedawno, prawie powszechne wybory dały rządowi większość, z czego wynika, że przeważna część narodu stoi po stronie legalnej władzy, nie starał się przekonać opozycyonistów, lecz ostro, z brwią namarszczoną mówił, że ci, którzy praw nie szanują, nie są ich warci i że kto rewolucyę podnosi, ten się z góry zgadza na jej skutki, a gdzie prawa są deptane, tam siła musi działać, więc niechże o tem wiedzą wszyscy i należycie się obliczą, bo rząd już podsumował rachunek warcholstwa.

Ta mowa szefa rządu, brzmiąca jak brzęk stali, oprzytomniła posłów. Były prezydent izby Lantsheere, który niedawno był tak miękki, że wolał zrzec się prezydentury, jak mundsztuk nałożyć na socyalistów, teraz wystąpił z długą mową, w której zaklinał deputowanych nie stawiać parlamentaryzmu na ostatnią kartę, albowiem w Europie już się czuć daje powiew absolutyzmu, już się objawia jakaś tęsknota do dyktatury, która chwilowo byłaby może nawet dobra, ale uzdrowić społecznych stosunków nie zdoła. Po tej mowie p. Lantsheere'a parlament ogromną większością uchwalił przeprowadzić rozprawę nad interpelacyą Anseele'go dopiero po przyjęciu ustawy gminnej. A zatem rząd odniósł stanowcze zwycięstwo, co pokazuje, że energia i siła jest najlepszem lekarstwem na warcholstwo.

A teraz słówko o argumencie stronnictwa chrześcijańsko-socyalnego, iż naród szuka środka na zły układ społeczny i dlatego się burzy, w czem mu nie trzeba przeszkadzać, bo z tego będzie zdrowie. Jest to wierutne kłamstwo. Nie o żaden układ społeczny poszło, lecz o ustawę gminną, opracowaną przez rząd i przedstawioną parlamentowi. Jest to ustawa — mówiąc językiem radykałów — wsteczna, bo żąda od radzców gminnych pewnego doświadczenia, jakiejś wiedzy i jakiegoś dowodu serdecznego dla gminy uczucia. Rząd rozumował słusznie, iż inaczej trzeba traktować prawa polityczne obywateli, a inaczej prawa ekonomiczne. Jeśli dużo da się powiedzieć przeciw zasadzie, że dość jest się urodzić i wyrosnąć, aby mieć prawo do stanowienia o sprawach politycznych, roztrząsanych w parlamencie, to już zgoła wszystko przemawia przeciw zachciance, aby wyłącznie ekonomiczne sprawy, rozważane w radach gminnych, zależały od ubogiego tłumu, który nic nie dodaje do majątku gminnego. Zatem rząd, który przeprowadził taką ordynacyą wyborczą do parlamentu, że każdy 25cio-letni Belg ma prawo głosu, wprowadził do projektu ustawy gminnej przepis, iż wyborcami radzców mogą być jeno obywatele 30to-letni, mieszkający w gminie najmniej cztery lata i płacący jakikolwiek podatek do kasy gminnej. To się właśnie nie podobało socyalistom zarówno chrześcijańskim, jak bezwyznaniowym, między którymi naprawdę nawet religijnej nie ma różnicy, a jest tylko nieco inny sposób zażywania tłumów. Wielkie masy, nie posiadające nic oprócz łachmanów na grzbiecie, a próżniactwa i żądzy używania w duszy, i pomimo tego decydujące swą liczebną przewagą o majątku zarobionym nie przez nie, — to właśnie ideał tych socyalistów. Więc powstali oni przeciw rządowemu projektowi, a widząc, że za nim są wszyscy, którzy cokolwiek posiadają i zamiast wszystko tylko nienawidzieć, coś kochają, czegoś chcą bronić, czy to się nazywa gminą, czy ojczyzną, — dali hasło do powszechnej bastówki robotników, aby takim teroryzmem zmusić rząd i obywateli pracujących do zaniechania ustawy gminnej, którą nazwali kapitalistyczną. Rozkaz bastówki wykonano prawie wszędzie, ale na własną rękę dodano jeszcze niszczenie fabryk, burzenie szybów w kopalniach i walki orężne z gwardyą obywatelską, poczem dopiero wojsko musiało wystąpić. Widzimy z tego, jak to tłumy szukają naprawy układu społecznego i jakby one gospodarowały majątkiem gminnym, gdyby im dano wolę, jakiej chcą. To są po prostu tatarskie czambuły, kierowane przez socyalistów ku zniszczeniu całej cywilizacyi. Albo ona zginie, albo to tatarstwo musi być ujęte w kluby; innego wyjścia nie ma.

Skończyły się w Niemczech bismarkowskie uroczystości. W samą rocznicę urodzin jubilata, 1-go kwietnia, spalono prawie we wszystkich miastach illuminacyę, odbyto obiady, bankiety, koncerty, zgromadzenia, poświęcone czci Bismarka, posłano mu przeszło 24.000 telegramów, uchwalono tu i ówdzie wznieść mu pomniki, a dziś już wszędzie cicho, we Friedrichsruh brama zaparta, park, popsuty nieco przez tłumy pątników, zamknięto, na oknach zamkowych spuszczono sztory i dr. Schweninger ogłosił, że Bismark jest nieco znużony. Może i niebardzo rad z festynów, bo on miły grosz lubi, a one mu go nie dały. Prezentów przysłano mu tyle, że osobną szopę z tarcic zajęto niemi, lecz oprócz jednej grupy bronzowej, przedstawiającej jelenia, walczącego dzielnie z dwoma wilkami, które może wyobrażają Francyą i Rosyą, jest między tymi prezentami za dużo dowodów sentymentalnej czułości Niemek, więc haftowanych pantofli, szlafmyc, torebek na tytoń, porcelanowych fajek, a najwięcej kwiatów, żywych i sztucznych. Mówią, że oglądając te miłe, ale prędko płowiejące i więdnące pamiątki, rzekł on z nieco smętnym uśmiechem słowami Kalchasa: „Kwiatów za dużo! za dużo!“ W istocie, zbierano w całych Niemczech t. zw. „Ottopfennig“ — grosz dla Ottona Bismarka — ale z tych feników nie złożyła się sumka o tyle pokaźna, iżby ją można było ofiarować jubilatowi. Jedne dzienniki tłómaczą to zubożeniem narodu, ale taki argument wydaje się bardzo ryzykownym; inne tem, że cały zapał, okazywany jubilatowi, był wywołany sztucznie, agitacyą jego wielbicieli, co prawdopodobniejsze, gdyż po uroczystościach zanadto prędko zapanowała cisza o pustelniku friedrichsruheńskim. Ale to znowu tłómaczą dzienniki porozumieniem, zawartem poufnie między junkrami a centrum, które chciało, by coprędzej zapomniano o głosowaniu jego w sprawie hołdu Bismarkowi. Właśnie na mocy tego porozumienia głosowało centrum za odesłaniem wniosku Kanitza do komisyi i za poprawkami junkrów w wyjątkowej ustawie przeciw przewrotowcom. Tak tedy w chwili odroczenia się parlamentu na święta znowu zapanowała zgoda między centrum a junkrami.

Paryskie dzienniki obmyśliły nową hecę, doniosły mianowicie, że „pewna zagraniczna osobistość, stojąca w bliskim stosunku z pewnym cywilnym członkiem rady wojennej (żona prezesa ministrów Ribota, Angielka) posłała ważny komunikat ambasadorowi niemieckiemu, który natychmiast wystosował do swego rządu cyfrowaną depeszę. Komunikat ów dotyczył poruszonych na radzie wojennej szczegółów mobilizacyjnych.“ Bulanżysta Le Herisse poruszył tę sprawę w parlamencie. Minister wojny zaprzeczył całej bajce, zapewnił, że na radzie wojennej nie mówiono o żadnych szczegółach mobilizacyjnych i że w ostatnim tygodniu urzędy telegraficzne nie miały ani jednej cyfrowanej depeszy. Nic to jednak nie pomogło. Dzienniki hałasują, że stała się zdrada. Oczywiście, idzie im tylko o zrobienie rządowi przykrości — choćby tak zużytym i brzydkim sposobem.

Korespondencye.

Londyn 30 marca.

(T) Podług wszelkiego prawdopodobieństwa Izba gmin jeszcze w tym tygodniu albo w początku przyszłego ukończy swe rozprawy nad drugiem czytaniem billu o sekularyzacyi Kościoła państwowego w Księstwie Walii. Jak czytelnicy wiedzą, każdy bill czytany jest w Izbie gmin trzy razy: pierwsze czytanie jest formalnością, w drugiem, najważniejszem, Izba oświadcza się za przyjęciem lub odrzuceniem zasady proponowanej, w trzeciem Izba zamienia się w komitet i rozbiera wszystkie artykuły szczegółowo, z praktycznego stanowiska. Potem jest jeszcze ogólny raport, ostateczne wotum nad całością billu i odsyła się go do Izby lordów, która w wielu razach (a bezwątpienia w obecnym) łeb mu kręci, odrzucając go całkowicie i niwecząc całą mozolną pracę parlamentarną.

Jest tedy ważnem, że Izba gmin przyjmie bill o sekularyzacyi Kościoła państwowego w Walii w drugiem czytaniu. Stronnictwo torysów sprzeciwia mu się zajadle. Opozycya ta leży w naturze rzeczy: partya zachowawcza idzie zawsze ręka w rękę z Kościołem państwowym. Oboje razem są przekonani, iż podołają się oprzeć nowemu duchowi. Złudzenie to próżne i dziwić się należy, że historya nie nauczyła niczego tych zapaśników. Dość im byłoby wszakże przypomnieć sobie wiekopomny bill Gladstona 1869 roku, wyswabadzający Kościół katolicki w Irlandyi. Położenie jest takie samo w Walii, jak było w Irlandyi. W obu krajach Kościół państwowy anglikański, reprezentujący drobną zaledwie liczbę wyznawców, utrzymywany był kosztem tych, którzy nic z nim nie mieli wspólnego — chyba wspomnienie odwiecznych prześladowań. Katolicka ludność Irlandyi zmuszona była opłacać sowicie duchowieństwo anglikańskie, utrzymywać anglikańskie kościoły i katedry (bez nabożnych), podczas gdy swoich własnych księży, swoich własnych świątyń, nie było za co utrzymywać. Tak samo jest w Walii, gdzie naród należy do rozmaitych sekt protestanckich, nie mających nic wspólnego z urzędowym anglikanizmem, i prześladowanych przezeń zacięcie, ale który jest zmuszony płacić mu dziesięciny i znosić cegły do jego gmachu. Jest to niesprawiedliwość oburzająca, sprzeczna zupełnie z ową tolerancyą i wolnością sumienia, którą się Anglia chełpi.

Tak, jak katolicyzm został wyswobodzony w Irlandyi, tak samo mieszkańcy Walii jednogłośnie, od lat wielu, szturmują do parlamentu, aby ich wyswobodził z zależności od anglikanizmu. Obecny bill uwzględnia to żądanie i czy się staje na stanowisku katolicyzmu, którego anglikanizm jest przeciwnikiem nieprzejednanym, czy też na stanowisku racyonalizmu, zostawiającego każdemu swobodę utrzymywania Kościoła, którego jest wyznawcą, trzeba mu przyklasnąć i życzyć mu powodzenia.

Rząd proponuje sekularyzacyę Kościoła anglikańskiego od 1 stycznia 1897 r. Trybunały i jurysdykcya anglikańskiego duchowieństwa mają być zniesione. Biskupi anglikańscy mają przestać zasiadać w Izbie lordów. Duchowieństwo zatrzyma swe kościoły i plebanie, dla których utrzymywania utworzonem będzie ciało ad hoc. Obecnie pobierają duchowni anglikańscy corocznie ze skarbu 279.000 funtów szterlingów (3,486.500 zł.) Suma ta, powstająca z podatków, dziesięcin i gruntów parafialnych, przestanie być płacona anglikańskim pastorom, ale zostawione im będą majątki zapisane specyalnie ich kościołom i daną im będzie hojna indemnizacya. Suma wyż wymieniona oszczędzona w ten sposób, będzie zużytkowana w przyszłości na korzyść całego walijskiego społeczeństwa i administrowana przez rady hrabstw. Wznoszone z niej będą szpitale, domy zdrowia, utrzymywane dozorczynie dla ubogich chorych, biblioteki parafialne i miejskie, muzea, domy wzorowe dla robotników etc. Nie należy uważać takich filantropijnych instytucyi, jako sprzecznych z duchem Kościoła; przeciwnie, są one jego towarzyszkami, jego córkami, i były wielkie epoki historycznego rozwoju, gdy Kościół sam brał na siebie zadanie podnoszenia społecznego dobrobytu. Skoro obecnie rola jego zześrodkowała się około wyłącznie etyczno-duchowej troski, jest słusznem, ażeby fundusze zagrabione na wyłączny użytek anglikańskiego duchowieństwa, szły na pożytek społeczności, która je wytwarza.

Czytelnik zrozumie, ile ważnych i drażliwych kwestyi wiąże się z tą sprawą sekularyzacyi anglikańskiego Kościoła. Nie jest moim zamiarem wchodzić w szczegóły, i nie myślę także stawać jako oskarżyciel anglikanizmu. Każdy z życiem tutejszem obeznany, musi przyznać, że Kościół państwowy, niedawno jeszcze grzęznący w cynicznym egoizmie, chełpiący się uprzywilejowanem swem stanowiskiem, pełen arogancyi, pychy, zawsze do prześladowań i napaści gotów, zaczyna okazywać nowe tendencye, szerzej rolę swą „ewangeliczną“ pojmuje i zbliża się do narodu, który dawniej wyzyskiwał bezecnie. Nikt także nie wątpi że to odrodzenie powstało za przykładem katolicyzmu: wobec grożącego sobie niebezpieczeństwa, kler anglikański zrozumiał, że nie ma dlań zbawienia, nie ma bezpieczeństwa na innej drodze, jak naśladowanie akcyi i propagandy angielskiego katolicyzmu. Nie przeszkadza mu to jednak napastować go przy każdej sposobności. Jeżeli, koniec końcem, anglikanizm klerykalny straci uprzywilejowane swe stanowisko, nie potrzeba będzie nad jego losami ronić łez, bo będzie się znajdował w tem samem półcieniu, co sekty protestanckie i co katolicyzm w Wielkiej Brytanii. Pozbawiony państwowej podpory, będzie się starał wyrobić wśród swych wyznawców takiego samego ducha ofiar i poświęcenia, jaki odznacza inne swobodne stowarzyszenia religijne i Kościoły i na tej drodze znaleźć może siły moralne, których brak w tak wysokim stopniu go odznaczał.

Izba gmin, która pracowała gorliwie nietylko nad tym bilem kościelnym, ale i nad etatem specyalnym wojska i marynarki — zawotowała je już obadwa — znalazła dość czasu, aby zawotować dwie rezolucye, dwa projekta przedłożone przez prywatnych członków. Rezolucye takie pozostają w sferze platonicznych życzeń i służą jedynie jako symptomata usposobień chwili, albo żądań pewnego stronnictwa. Taki charakter miał naprzód wniosek o płaceniu członków parlamentu, a następnie inny, zdążający do zamienienia konstytucyi angielskiej z jednolitej na federacyjną. Słówko pobieżne o tych projektach wystarczy.

Opłacanie deputowanych należy do programu robotniczego stronnictwa, którego kandydaci i reprezentanci znajdują się materyalnie w trudnem położeniu. Ale społeczność angielska dotąd uważa mandat reprezentanta, tak samo jak każdą służbę publiczną, jako akt wolnej woli, i jest zdania, że zaszczyt jaki przynosi, blask jaki daje temu, który pozyskał od wyborców misyę przemawiania w ich imieniu jest więcej niż wystarczającą zapłatą. W kraju nawskroś arystokratycznym, przedstawiciele klas wyższych uważali nieledwie jako swój obowiązek te bezpłatne urzęda i dostojeństwa sprawować. Demokracya angielska, stając na stanowisku bezwzględnej równości, z chwilą gdy pozyskała głos wyborczy, wniosła idee i zasady istniejące i rozpowszechnione na stałym lądzie. Teoretycznie liberalne stronnictwo stanęło po jej stronie, ale praktycznie nie będzie się kwapiło z wprowadzeniem tej zasady w czyn. Powód tej obojętności jest do zrozumienia łatwy. Stronnictwo robotnicze, od czasu ścisłego pokumania się z socyalizmem, nie tylko nie idzie pod jednym sztandarem z liberalnem, ale łącząc się często z zachowawczem, przyprawia postępowców o niemałe kłopoty i o stratę wielu stanowisk uznawanych jako niezdobyte. Nie idzie tedy liberałom bynajmniej o wzmocnienie grupy robotniczej w parlamencie, coby niezawodnie nastąpiło, gdyby okręg wyborczy opłacał koszta kampanii wyborczej, a skarb płacił pensyę deputowanym. W obec protestacyi z zasady zachowawców, a dwulicowej polityki postępowców, nie trudno przewidzieć, że reforma ta, na którą kanclerz skarbu ochotnie także spoglądać nie może, nie tak prędko wejdzie w życie, chociaż figuruje w programie Newcastelskim i chociaż izba wyraziła życzenie jej zaprowadzenia.

Drugiem, równie teoretycznem „desideratum“, uchwalonem przez izbę, jest usamowolnienie prawodawcze nietylko Irlandyi, ale także Szkocyi, Walii i Anglii. Każda z czterech części Wielkiej Brytanii ma posiadać swój sejm prowincyonalny do załatwiania spraw miejscowych, a parlament ma jedynie zajmować się temi, które się dotyczą całości państwa. Myśl ta dla mieszkańców Galicyi, żyjących właśnie pod taką ustawą, jest całkiem naturalna, ale

---

1)

BIEDNI STARUSZKOWIE

NOWELA

przez **HENRYKA BORDEAUX.**

Przekład z francuskiego.

Państwo Gatineau mieli imiona staroświeckie, a twarze pomarszczone jak jabłka renety; nazywali się: Artur i Sylwia i jedno było drugiemu podporą we wspólnem niedołęztwie. Byli bardzo, bardzo starzy; tacy starzy, że nikt nie przypominał sobie ich młodych lat, zaginionych od lat wielu w przeszłości zamierzchłej już, zatartej. Istnieli jedynie po to, by przeżywać coraz więcej nieszczęść, bo zrobiła się dokoła nich pustka: wszystkie ich dzieci powymierały i mieli już tylko, na pociechę sędziwego wieku, jednego wnuka, Wiktora, który hulał w Paryżu, powracając od czasu do czasu dla odwiedzenia staruszków do małego miasteczka prowincyonalnego, cichego i spokojnego, gdzie jego „parisianizm“ znosił katusze.

Staruszkowie wszakże żyli jedynie dla niego: odczytywali nieustannie jego listy, — niebardzo częste, — tak, że umieli je na pamięć, wyrywając sobie z cichym śmiechem błogosławiony świstek papieru; unosząc się nad *dobrym malcem*, który dla nich pozostał niemowlęciem, wymagającem pieszczoty, albo stał się lalką ich starości, takiej zbliżonej do dzieciństwa. Patrzyli na tyle dzieci umierających, że sama świadomość, iż on żyje, przejmowała ich radością. I w gawędach wolnych, przerywanych często długiem milczeniem, przypominali sobie jego wyrażenia dziecięce, — dwa czy trzy, wiecznie te same, — któremi się rozkoszowali zawsze z tą samą niezmienną uciechą. Od czasu do czasu wyjmowali nawet z szafki kilka jego relikwii: czepeczek, pierwsze spodenki, całe zniszczone, połatane pracowitemi rękoma dobrej, starej gospodyni, kokardę z pierwszej komunii, czapkę uczniowską. Wówczas następowały łzy rozrzewnienia, chaotyczne wspomnienia z tego dzieciństwa, które w ich pamięci, niezbyt już pewnej, mieszały się z innemi latami dziecinnemi, dawniejszemi, z innemi przywiązaniami umarłemi i zaginionemi w zapomnieniu.

Tak długo żyli ze sobą, tak długo się sobie przypatrywali, że w końcu stali się do siebie podobni, mieli te same zwiędłe rysy, te same oczy łagodne, życzliwe i nieco wylękłe, jak gdyby się obawiali widzieć smutne rzeczy. A ich oczy odsyłały sobie wzajemnie obraz Wiktora, który się w nich odbijał.

Mówiąc o nim, odnajdywali żywsze wyrażenia w mowie swojej, złożonej ze słów, łagodnych jakby przyćmionych; a gdy im oznajmił, że przyjedzie ich odwiedzić, powtarzając coraz rzadziej te wizyty, które nazywał swoją pańszczyzną, spędzali całe dni na czyszczeniu najpiękniejszego swego ubrania, według dawno minionej mody skrojonego, i krygowali się przed lustrem, pragnąc odzyskać szyk w obejściu, młodzieńcze ruchy, by spoglądał na nich bez przykrości i nie czuł się zadraśniętym w swojej elegancyi, gdy wyjdzie z nimi na ulicę.

Byli to małomieszczanie, których skromny fundusik, uciułany podczas długoletniego i uczciwego handlu pana Gâtineau, był pewny i dobrze umieszczony; pensya, jaką płacili Wiktorowi, pochłaniała więcej niż połowę funduszu, ale ich wątłe żołądki, ich mikroskopijny apetyt takie niewielkie miały potrzeby! Systematyczni i oszczędni, w każdym terminie odcinali kupony i robili rachunki, uszczęśliwieni, że mają zajęcie, a do tej prostej operacyi przybierali poważne miny finansistów. Przez resztę czasu, nic nie robiąc, byli zawsze bardzo zapracowani. On pielęgnował sumiennie ogródek, drepcząc drobnym krokiem po małym kawałku ziemi, który się rozciągał przed ich domem, i wycierając sobie znużonym ruchem czoło, gdy zdjął liszkę z krzaka różanego lub z ciężkim wysiłkiem wyrwał chwast. Ona układała w szafach, gdzie wszystko już leżało w największym porządku, albo też wynajdywała wymyślne przysmaki, przyrządzając je wraz z kucharką i śmiejąc się w duchu z niespodzianki, jaką Artur będzie miał przy obiedzie.

Mieli oni jedno dla drugiego atencye kochanków. Często on, cały w etykietalnych ukłonach, ofiarowywał jej różę, którą trzymał delikatnie między palcem dużym a wskazującym; ona znów haftowała mu pokryjomu czapeczki w skomplikowane desenie albo pantofle w kwiaty. Wymyślili najrozmaitsze rocznice i uroczystości, by sobie robić niespodzianki i mówić czułości. Szczęśliwi byli, że się ciągle widywali i że stali się podobni do siebie; — wyszedłszy cało z tylu katastrof, cieszyli się wątłem, dobiegającem schyłku życiem; w uśmiechach swoich i zmarszczkach odnajdywali całą wspólną przeszłość, pełną radości i cierpień, a ponieważ przywiązanie ich pozostało niewzruszone, wskrzeszali swoją młodość i miłość.

— Estella i Nemorin, przekształceni na Filemona i Baucis, — mówił o nich depentent notaryusza, obznajomiony z literaturą.

A tam zdala od nich, wobec chwilowych przyjaciół, towarzyszów zabawy, Wiktor porównywał ich do ozdób na zegarach, do tych pasterzy i pasterek, którzy krygują się na kominkach w pokojach z XVIII-go wieku, między tomem pani de Genlis i popiersiem Floriana, wprost szpinetu, gdzie leży partycya *Devin du village*.

II.

Pewnego ranka listonosz przyniósł im dwa listy, po jednym dla każdego. A oni, przybrawszy poważne miny, stanęli w dwóch framugach okien, by listy przeczytać. Gdy skończyli, byli oboje nieco zaczerwienieni i zmięszani i nie śpieszyli się z rozpoczęciem rozmowy. Trzymając okulary w jednej ręce, a list w drugiej i stojąc naprzeciwko siebie z widoczną chęcią odwrócenia się wzajemnie plecami i umknięcia, komiczni byli w swojem zakłopotaniu.

— Kto to pisze do ciebie? — spytała wreszcie pani Gatineau. — Czy jest co nowego?

Zaokrąglała swoje małe usta, wymawiając ten wyraz „nowego“, a głos jej, drżący zlekka, miał przytem oddźwięk starej rzeczy, która się tłucze.

— O! to nic, — odparł tonem wymijającym, przyciszonym, — to... ogrodnik, do którego pisałem po nasiona.

— A!

— A twój list, czy ważny?

— Nie, nie, wcale nie! — odparła bardzo prędko i odwracając się trochę, — to... rachunek szwaczki.

A małżonek jej szepnął z miną smutną ale przebiegłą:

— Myślałem, że będziemy mieli dzisiaj list od Wiktora; dawno już nie było wiadomości od niego.

Ona, pobłażliwa, odparła:

— Pewnie jest bardzo zajęty... kochane dziecko...

Poczem, nie mając sobie już nic więcej do powiedzenia, on poszedł do ogrodu, a ona do swego pokoju.

Staruszek usiadł na ławce, pod cieniem starych, pochylonych drzew, które z troskliwością ochraniały go od słońca; tam znów otworzył list i zaczął go odczytywać wolno z natężoną uwagą, która męczyła go tak, że aż żyły wystąpiły mu na czole. A list ten brzmiał:

„Paryż, 3 czerwca.

„Mój kochany Dziadku!

„Do Ciebie samego piszę i po raz pierwszy to piszę do Ciebie z przykrością, bo się obawiam, żebym Cię nie zmartwił. Dałem się wciągnąć do gry w karty z przyjaciółmi i przegrałem dużo pieniędzy: żeby zapłacić, musiałem się zapożyczyć, a teraz jestem w wielkim kłopocie i nie wiedziałbym jak z tego wybrnąć, gdybym nie ufał twojej dobroci. Ty jesteś mojem jedynem zbawieniem. Potrzebowałbym pięćset franków zaraz, bom przyrzekł. Smucę się tem bardzo, że sprawiam Ci taką przykrość, ale zapewniam Cię, iż więcej grać nie będę.

„Zwłaszcza nie mów nic babci, błagam Cię; zmartwiłaby się bardzo, a lepiej, żeby się nigdy o tem nie dowiedziała. Ukryj przed nią dobrze, że piszę do Ciebie.

Ściskam Cię tak mocno, jak Cię kocham.

Wiktor Gâtineau“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

jakkolwiek społeczność tutejsza ma nie jeden ale tysiąc powodów do życzenia sobie tego rodzaju konstytucyjnej zmiany, myśl taka nie weszła jeszcze w krew i soki narodu, zdaje się czemś potwornem, nieprawdopodobnem masie narodowej. Potrzeba będzie nie małego szeregu lat i wytrwałej propagandy, aby wpoić w Anglików przekonanie, iż ta konstytucya ich, którą przywykli uważać za ostatni wyraz mądrości politycznej, ma być zarzuconą i zastąpioną inną, niewypróbowaną jeszcze, zagadkową. W epokach rewolucyjnych improwizują się ustawy konstytucyjne, ale nie możnaby zrozumieć tak zachowawczego społeczeństwa jak angielskie, ażeby bez żadnego, nakazującego powodu, „de gaieté de coeur“ (z radośnem sercem) tego rodzaju radykalną zmianę przedsięwzięło. Jednemu tylko dziwić się można, że izba, wprawdzie nie liczna, taką uchwałę przyjęła. Nie grozi ona jednak urzeczywistnieniem, a w chwili obecnej, gdy usamowolnienie jednej części Wielkiej Brytanii, mianowicie Irlandyi, zaniechanem a przynajmniej odłożonem być musiało wobec oporu jednej części narodu, nie może być mowy, aby taki sam przewr t dokonany był odrazu we wszystkich dzielnicach kraju. Wprawdzie logika, zdrowy rozsądek wykazuje, że owo usamowolnienie i samorząd Irlandyi dlatego głównie przerażał, iż był odosobnioną reformą, ale że byćby nią przestał, gdyby do wszechnarodu był zastosowany; skoro jednak ani logika, ani zdrowy rozsądek nie rozstrzygają o losach społeczeństw, ale zależą one od interesów swych członków, zatem oczy ogółu nie tak prędko zostaną otwarte na istotne położenie rzeczy.

Jakkolwiek sprawy publiczne zaprzątają umysły, są chwile w których schodzą one na drugi plan. Jedną z takich jest właśnie dzień dzisiejszy. Bez znaczenia gdzieindziej, jest dańą w życiu Londynu. Odbywa się wyścig wodny pomiędzy studentami dwóch narodowych uniwersytetów: Oxfordu i Cambridge. W kraju, gdzie wszystkie sporty i atletyczne ćwiczenia wyrobiły sobie naczelne stanowisko, wytworzyły wiele specyalności i uformowały nietylko temperament, ale nawet charakter narodowy swym potrzebom odpowiedni, prym przed innymi trzyma zawsze sport wodny. Trzeba widzieć choć raz w życiu regaty morskie na wyspie Wight i regaty rzeczne studentów uniwersyteckich na Tamizie, aby pojąć, że dla Anglików życie na wodzie jest najwyższą życia manifestacyą, że są z niem zespoleni, że przywiązują doń wagę, znaczenie, o jakich gdzieindziej nie ma się wyobrażenia. Zrodziło je poczucie, że bezpieczeństwo kraju polega na jego marynarce i flocie, ale upewniam czytelnika, że temu milionowi widzów, co tu w chwili, gdy słowa te piszę, tłoczy się wzdłuż wybrzeży Tamizy nie chodzi wcale o wielkość Anglii. Są to zapaleni atleci i sportsmani, specyaliści w sztuce wiosłowania, są to następnie gracze, którzy zakładają się za jedną z dwóch stron, są to nakoniec ciekawi widowiska, które samo w sobie posiada wiele wdzięku i malowniczości. Wyćwiczone kohorty studentów, którzy od kilku tygodni odbywają ćwiczenia na tej części rzeki gdzie się dzisiaj spotykają, na lekkich swych łodziach pędzą jak strzały. Towarzyszą im po obu stronach rzeki wiwaty i okrzyki szalone, dzikie. Tłum ten olbrzymi, nieprzejrzany, zbity w jedną masę, zalega jej wybrzeża, ciśnie się na każde dostępne miejsce, drapie się na tarasy, na dachy domów i kościołów; tysiące, dziesiątki tysięcy wszelkiego rodzaju pojazdów i zaprzęgów zwożą od rana widzów, wyrzucają ich pociągi dróg żelaznych. Długie godziny wyczekiwania widocznie nie nużą publiczności, która zjada swoje śniadania, przygląda się arlekinom, słucha muzyki ulicznych minstrelów i sama się sobie przypatruje. Wielkiemi niewygodami trzeba chwilowe zaspokojenie ciekawości opłacić, bo gdy się dwie łodzie studentów ukażą, to natychmiast znikają w zakrętach rzeki, i tylko ci, co znajdują miejsce przy moście Putney, ostatecznej mecie wyścigu, wiedzą natychmiast jego rezultat. Ale w chwilę potem telegram na wszystkie punkta kuli ziemskiej roznosi wiadomość czy Oxford, czy też Cambridge zwyciężył.

Ulubieńcem tego roku jest pierwszy, którego załoga pilnie doglądana przez rozmaitych entrainerów i wodnych sportsmanów ma przewyższać siłą muskularną, lekkością i zwinnością swych rywalów. Oxford zresztą na ostatnich kilku regatach, tak samo jak w zapasach cricketu odnosił walne zwycięstwa; nie jest więc zbyt ryzykownem i teraz mu je przepowiadać. Nie sądzę, ażeby fakt sam miał dla czytelników naszych większe znaczenie jakie; tutaj jednak obojętności zachować niepodobna i jest się ogólnym szałem i wirem nieraz mimowolnie porwanym. Najwięcej entuzyazmu okazują kobiety Nie ma żadnej, któraby dzisiaj nie manifestowała swych sympatyi do jednego lub drugiego z zapaśników, nosząc w swym stroju bądź szafirowy kolor Oxfordu, bądź jasno-niebieski (Cambridge). Ten ostatni, jako będący bardziej do twarzy, jest zwykle faworyzowany przez złotowłose, białolice córy Anglii: kokieterya nigdy praw swoich nie traci, nawet gdy o stratę pieniężną chodzi. Trzeba jednak dodać, że i tutaj kobiety domagają się, aby im płacono zakłady, gdy je wygrają, ale ufają galanteryi mężczyzn, że ich od nich nie przyjmą w razie przegranej.

Chociaż deszcz, padający od tygodnia, czynił wycieczkę na przedmieście, gdzie się wyścigi wodne odbywają, mniej pożądaną, nie przeszkadza on zwykłemu napływowi, który przybrał, o ile z daleka sądzić mogłem, rozmiary kolosalne. Wieczorem całe miasto będzie hulać i ucztować. Ponury zazwyczaj, poważny nastrój londyńskiego mieszkańca, gdy taką wyjątkową okolicznością jest podbudzony, pokazuje niezaprzeczoną dzikość, rubaszność i materyalizm bez żadnych estetycznych osłon. Człowiek, co podług nieśmiertelnego słowa Pascala, jest na pół aniołem, a na pół bydlęciem, w takich dniach jak dzisiejszy zatraca pierwszy, a uwidocznia tylko drugi czynnik składowy swej natury

Zdania o Bismarku.

Czasopismo *Gegenwart*, jak to już pisaliśmy, zaprosiło najsławniejszych pisarzy i uczonych do wypowiedzenia zdania o Bismarku. Z ogłoszonych tych zdań przytaczamy kilka. Henryk Sienkiewicz mówi jak następuje:

„Niezrównany w wyzyskiwaniu ludzi, rzeczy i stosunków, objął ks. Bismark istotnie podziwu godną obfitość wypadków i umiał nietylko z pomyślnej sytuacyi ciągnąć korzyści, a niebezpiecznej unikać, ale także, co jest o wiele większem, ukształtować wszystko na korzyść swych celów. Pod tym względem spoczywała w istocie jego wielka siła twórcza. Nie stworzył on żadnej idei, tak jak aktor nie stwarza postaci, które przedstawia — ale tak jak genialny aktor umie w postać przez innych stworzoną wcielić swoją indywidualną siłę, tak też i on potrafił na swojem dziele wycisnąć piętno swej wielkiej indywidualności i skutkiem tego przedstawił się zdumionemu światu nietylko jako wykonawca, ale także jako ojciec dzieła... — jądru ludności niemieckiej powiada instynkt odporności i świadomości wysokiego posłannictwa, że zjednoczenie Niemiec mogło być rzeczywiście dziełem tego męża, ale że w przyszłości Niemcy nie mogą rozwijać się w jego duchu“.

Duńczyk Jerzy Brandes powiada:

„Tak, Bismark był szczęściem dla Niemiec, chociaż nie był dobroczyńcą dla ludzkości! Jest on dla Niemiec tem, czem są doskonałe, bardzo silne okulary dla krótkowidza. Jest wielkiem szczęściem dla krótkowidza, że tak wyśmienite okulary posiada, ale wielkiem nieszczęściem, że ich potrzebuje“.

Włosi wyrażają się o ks. Bismarku pochlebnie i podnoszą go jako męża o nadzwyczaj silnej woli i genialnym zakroju. Jedynie Cezar Lombroso z Turynu innego jest zdania. Wyraża on taki sąd:

„Jeśli wielkim ministrem nazywa się człowiek, który z wielką mądrością i energią, posuwającą się do niemiłosierdzia, reprezentuje interesa własnej klasy, to Bismark jest wielkim człowiekiem. Ale pomiędzy wielkimi ludźmi są rozmaite stopnie. Wybierając pomiędzy Cavourem, który uwolnił kraj a potem umiał nim rządzić bez uciekania się do gwałtów — pomiędzy Gladstonem, który zapobiegł rewolucyi Irlandczyków, popierając ich słuszne życzenia, który odstąpił z własnej woli wyspy Jońskie, gdy Anglia dosięgła szczytu swej potęgi, a który upadł, ponieważ chciał przeprowadzić ustawę przeciw pijaństwu — wybierając pomiędzy tymi mężami a ks. Bismarkiem, który przy pomocy pół miliona żołnierzy i w zupełnem porozumieniu z cesarzem swoim panował i nie wzdrygał się podburzać jednej klasy przeciw drugiej, aby tylko tryumfować, historya przyzna Cavourowi i Gladstonowi pierwszeństwo“.

W sądach Francuzów wije się oczywiście nieprzerwana nić odw tu. Niektórzy z nich, jak np. hr. de Mouy, uznają zasługi Bismarka jako niemieckiego męża stanu, ale równocześnie z naciskiem podnoszą ujemne strony jego jako człowieka. Nie będziemy tu powtarzali wszystkich zdań, ogłoszonych w *Gegenwart*, zaznaczymy tylko charakterystyczniejszy sąd znanej literatki francuskiej p. Julietty Adam. „Dopóki — pisze ona — Bismark był u steru i mógł braci naszych w Alzacyi i Lotaryngii uciskać surowością zwycięzcy, nienawidziłam go z całej duszy. Powodowana tą nienawiścią, studyowałam go i stwierdziłam u niego ku mej wielkiej radości małoduszne rysy. Człowiek ten, powtarzałam sobie, nie jest wielki, kłamie on bowiem pod maską brutalnej otwartości, a charakter jego nie posiada tej siły władzy, jaką wykonuje. Kolos ten ma nogi gliniane, musi on upaść... I upadł! A prawa moralności, które wyżej stawiam od wszelkich sukcesów pochodzących ze źródła siły, zostały poświęcone i umocnione przez upadek tego, którego humanitarność nie stała na równej wysokości z jego szczęściem“.

KRONIKA.

Lwów 4 kwietnia.

Hygiena w szkole. Minister oświaty dr. St. Madeyski rozesłał do wszystkich krajowych Rad szkolnych w monarchii okólnik o pielęgnowaniu hygieny w szkołach średnich, w którym podaje rozmaite przepisy, dążące do usunięcia hygienicznych nieprawidłowości, istniejących w szkołach i gmachach szkolnych.

Sale szkolne — według tego okólnika — powinny być tak urządzone, aby uczniowie nie siedzieli ani twarzą, ani tyłem do okna, lecz żeby światło padało z boku. Zanadto silne światło ma być przyciemnione za pomocą szarych rulet. Przy używaniu sztucznego oświetlenia światło powinno być spokojne i odpowiednio silne. Migotanie światła należy usunąć. Płomień powinien być osłonięty, aby nie raził oczu uczniów, a nadto powinien od głów uczniów znajdować się w odpowiedniej odległości, aby nie drażniło ich gorąco dobywające się z lamp. Ciepłota w salach, w czasie gdy są opalane, powinna wynosić 13 do 16 stopni R.

Powietrze w salach szkolnych należy ustawicznie odświeżać. Urządzenie wentylatorów temu celowi nie odpowiada, należy przeto powietrze w salach odświeżać przez otwieranie okien podczas pauz, tak w lecie jak w zimie. Ponieważ mokre okrycia i parasole pozostawione w sali szkolnej również psują powietrze, przeto okólnik poleca dyrekcyom szkół, aby postarały się o urządzenie na garderobę osobnych lokali. Można temu zadość uczynić przez ustawienie szaragów na korytarzach.

Nauczyciel baczną uwagę zwracać powinien na trzymanie się uczniów podczas pisania i rysowania. Wielką rolę odgrywają pod tym względem ławki, które powinny być urządzone odpowiednio do wymagań hygieny i stosować się do wzrostu uczniów, którzy w nich siedzą. Liczne badania lekarskie stwierdziły, że uczeń z klas niższych siedząc niewygodnie lub pochyło, nabawia się skrzywienia stosu pacierzowego, czynność jego płuc przez złe trzymanie się jest utrudnioną, a gdy ławka jest wysoką a uczeń małego wzrostu, więc ma książkę tuż przed sobą i nabawia się zwykle przez to krótkiego wzroku. Tablica w szkole powinna być wielką i tak umieszczoną, aby wszyscy uczniowie w klasie wygodnie mogli widzieć, co na niej jest napisanem.

Pilną uwagę zwrócić należy na czystość w całym budynku szkolnym. Podłogi, schody i korytarze przynajmniej raz na tydzień należy mokrą szmatą wycierać, a do roku kilka razy dobrze wyszurować. Aby zapobiedz możliwemu rozszerzaniu się chorób zaraźliwych, należy przyuczać uczni, aby nie pluli na podłogę lecz do spluwaczek, których odpowiednią liczbę w każdej sali szkolnej należy umieścić.

Gospodarz klasy, przeznaczając uczniowi miejsca w ławkach, powinien mieć wzgląd na to, jak ci uczniowie widzą i słyszą i stosownie do tego, miejsca im wskazywać. Ucznia źle widzącego lub słyszącego niepodobna umieścić w ostatniej ławce. Obowiązkiem szkoły jest powierzoną je młodzież—o ile to jest możebnem — nie tylko uchronić od wszelkich fizycznych ułomności i zdrowiu szkodę przynoszących wpływów, lecz także w nauczaniu i zadawaniu lekcyi, tak postępować, aby uczeń pracą nie był po nad swe siły obarczony. W tym celu przy układaniu planu nauki należy uważać na stosowny podział przedmiotów szkolnych na dni tyg dnia, jak również na odpowiednie następstwo po sobie poszczególnych przedmiotów w jednym dniu. Uczeń bowiem mniej będzie odczuwał ciężar tego, czego od niego szkoła żąda, jeśli w podziale godzin zaprowadzoną będzie pewna rozmaitość, i gdy po przedmiotach, przy nauce których umysł ucznia musi być bardzo natężony, następować będą przedmioty nie wymagające tak silnego skupienia myśli, również należy podział godzin tak urządzić, aby bezpośrednio po sobie nie następowały przedmioty wymagające wytężonej pracy oczu np. kaligrafia i rysunki.

W końcu poleca p. minister w swym okólniku, aby do komitetów, które czuwają nad budową nowych, lub rekonstrukcyą starych gmachów szkolnych, dobierano zawsze lekarza, któregoby obowiązkiem było czuwać, aby plany wznieść się mającego gmachu szkolnego odpowiadały wszelkim wymaganiom hygieny.

Towarzystwo politechniczne odbyło wczoraj czwarte z rzędu walne zgromadzenie dla dokonania wyboru nowego zarządu. Na komplet musiano czekać przeszło godzinę. Głosowanie wykazało następujący wynik: Prezesem wybrany: Ludwik Goltental, zast. Bronisł. Pawlewski. Członkami zarządu: Bałaban Jak., Czaykowski Mik., Dzieślewski Roman, Bieńkowski Feliks, Fiedler Tad., Grzębski Edmund, Kossuth Stefan, Peżański Grzegorz, Piekarski Kazimierz. Członkowie komisyi lustracyjnej: Sikorski Tadeusz, Kowalczuk Michał, Kasprzycki Piotr. Zastępcy: Jaegerman Józef i Libański Edmund. Członkowie sądu polubownego: Edmund Bartmański, Jan N. Franke, Rom. br. Gostkowski, Sylw. Gawryszkiewicz, Andrz. Kędzior, Michał Kowalczuk, Adolf Kuhn, Stefan Łyszkiewicz, Bogdan Maryniak, Winc. Rawski, Józef Rychter, Tad. Sikorski, Karol Skibiński, Aug. Sołtyński, Jul. Zacharjewicz, Rom. Załoziecki.

Imieniem zgromadzenia złożył podziękowanie poprzedniemu zarządowi prof. Pawlewski i prosił o poparcie nadal, a nowy prezes Goltental oświadczył, że według sił będzie pracował dla rozwoju towarzystwa. Oddał przytem hołd zasługom br Gostkowskiego. Nowy zarząd powierzy zapewne sprawy naukowe osobnej stałej komisyi. Położył nacisk na potrzebę wzmocnienia komitetu redakcyjnego dla „Czasopisma technicznego“, tudzież utworzenia umyślnego komitetu dla spraw praktycznej techniki i przemysłu, a nadto grona, któreby się zajmowało wycieczkami towarzystwa i rozbudzeniem życia towarzyskiego.

Wiceprezes Pawlewski dodał, że towarzystwo będzie musiało prym objąć we wszystkich sprawach, które po wystawie w kierunku techniczno-przemysłowym bądź już rozpoczęto, bądź rozpoczęte będą w stolicy i w kraju.

Wylewy. Z Sokala donoszą: Stan wody na Bugu dnia 31 z. m. wynosił 684 ctm. ponad stan najniższy. Komunikacya przez most jest wstrzymana i tylko pieszych się przepuszcza. Wskutek tak niezmiernego wzniesienia się wód Bugu, zostały okoliczne drogi zalane, a między innemi także i droga dojazdowa od dworca do Sokala, na której odbywa się komunikacya łódką na przestrzeni około 100 m. Również zalane są drogi, prowadzące po lewym brzegu Bugu od dworca kolei do Uhrynowa i innych miejscowości. Przedmieście Sokala, Zabuże, zostało w znacznej części zalane i około 50 domów stoi pod wodą, między którymi także i nowo wymurowana szkoła. Życie ludzkie nie zostało nigdzie zagrożone.

Z Żydaczowa piszą, iż stan wody na Dniestrze począł się obniżać.

Konkursa. W Skawinie, w powiecie wielickim, jest opróżnioną posada weterynarza miejskiego z roczną płacą 360 złr. Podania należy wnieść do 10 maja br.

Fabryka T. Bredta w Ottynii. Do dzisiejszego numeru dołączamy naszym czytelnikom na prowincyi plakat fabryki maszyn T. Bredta w Ottynii. Dla tych, którzy z tą fabryką stoli w stosunkach lub też rozwojem przemysłu krajowego się interesują, nie będzie może obojętnem poznać bliższe szczegóły jej rozwoju.

Fabryka w Ottynii założoną została w r. 1878 i wyrabiała przez pierwsze dwa lata tylko żelazo kute sztabowe, osie do wozów, ryskale, sapy i t. p. narzędzia do uprawy roli. W r. 1880 t. j. w dwa lata później, dobudowano do niej warsztat mechaniczny i odlewarnię żelaza i zaczęto odlewać żelazo i metale, naprawiać maszyny i wyrabiać maszyny rolnicze nowe. Jeszcze dwa lata później, tj. r. 1882, dobudowano dalej kotlarnię, powiększono warsztaty mechaniczne, wyposażono je w potrzebne maszyny pomocnicze i zaczęto już wyrabiać kotły parowe, przyrządy wiertnicze, a następnie maszyny parowe i kompletne urządzenia gorzelni, browarów, młynów, tartaków, rafineryi nafty, cegielni itd., nie zawieszając wyrobu maszyn rolniczych. W r. 1892 zniszczył pożar tę fabrykę z drzewa budowaną do szczętu. Właściciel postawił na jej zgliszczach w przeciągu niespełna pół roku nową murowaną, nierównie większą jak poprzednia, a urządziwszy ją podług nowoczesnych wymagań techniki, prowadzi ją dalej, wyrabiając artykuły w plakacie przedstawione i opisane. Fabryka w Ottynii miała w początkach założenia zaledwie kilkunastu robotników, dziś zaś zatrudnia w dziale maszynowym stale 200 robotników i odpowiedni personal techniczny i kantorowy. Urządziła w ciągu lat swego istnienia wiele zakładów przemysłowych w Galicyi i na Bukowinie, a wyroby jej znajdują zbyt także i w Rumunii, na Węgrzech i Rosyi. Walczy ona skutecznie z konkurencyą firm obcych i ruguje z kraju ich wyroby i wyrobiła sobie liczną klientelę.

Obok fabryki maszyn istnieje tegoż samego właściciela T. Bredta w Ottynii zakład fabryczny dla wyrobów z drzewa, obejmujący tartak parowy, fabrykę parkietów i patyczków do zapałek. W tym oddziale pracuje również 200 ludzi, fabryka ottynijska zatrudnia zatem razem 400 robotników.

Miłe stosunki. W Esseg na Węgrzech aresztowano członka rady miejskiej Trifunowicza, gdyż pokazało się, że należał on do międzynarodowej szajki złodziejskiej, która dobierała się do kas.

O przepowiedniach Falba, dyrektor królewskiego obserwatoryum w Berlinie, tajny radzca, dr. Foerster, pisze w wiedeńskiej *Allg. Ztg* co następuje: My, ludzie stojący na gruncie meteorologii, jako ścisłej nauki, odrzucamy bezwarunkowo i najzupełniej prognozy Falba. Środkami, które dotąd meteorologia ma do rozporządzenia, nie da się absolutnie wykazać, jakoby wpływ księżyca nietylko na wodę, ale nawet na środek ziemi i na zewnętrzną atmosferę był tak wielki, iżby z jego skutków można na tygodnie naprzód stawiać prognozy. Nawet przypuśćmy, że istnieje wpływ, to może być niezmiernie mały i znaczenie jego co do prognoz musi być stanowczo odrzucone. Ludzie są przesądni, a dnia nie ma, żeby gdzieś na świecie nie było przyrodniczych wypadków, trzęsień, wybuchów. Więc ludzie wierzą, że Falb je przepowiedział, on zaś nigdy miejsca nie podaje, czas luźnie określa, a gdy chybi, to oświadcza, że zaszły nagle inne okoliczności. To są farsy. Wierzą mu ludzie warstw najniższych, bo są ciemni, oraz ludzie z warstw najwyższych, bo ci są powierzchowni, wszystkich wiadomości zaledwie się dotykają, a nic naprawdę nie uczą. Może przyjdzie czas, że nasze wiadomości o kosmicznych wpływach na ziemię się rozszerzą i pogłębią, może wtedy powiedzie nam się budować mosty na drogach, po których Falb buja. Tymczasem nauka odrzuca jego prognozy, bo nauka tylko to twierdzi, co udowodnić może...

Koncert. W niedzielę w Domu Narodnym odbędzie się koncert p. Mikołaja Lewickiego, tenora, znanego z kilku debiutów scenicznych, ze współudziałem pp. Czaplińskiej, Strassern, Jeromina, Sladka i Neuhausera. Pan Lewicki będzie śpiewał aryę z „Halki“, dwie pieśni Niewiadomskiego, duet z „Favority“ z p. Strassern, oraz solo tenorowe w kompozycyi księdza Niżankowskiego „Mynuły lita mołodii“ z akompaniamentem p. Sladka na wiolonczeli i pana Neuhausera na skrzypcach. Nadto p. Strassern odspiewa aryę Santuzzy, p. Jeromin dwie pieśni Moniuszki i Tostiego, a p. Czaplińska wygłosi wiersz.

Aresztowania. Wczoraj aresztowano w Wiedniu inżyniera Józefa Ledóchowskiego za kradzieże paltotów po kawiarniach. Pisma wiedeńskie twierdzą, iż aresztowany jest synem pułkownika z roku 1831, i że tylko z nędzy stał się złodziejem. Niewiadomo jednak, czy aresztowany w istocie podał swe prawdziwe nazwisko.

Nieszczęśliwy wypadek. Z Rzymu donoszą, iż w Monte Pulciano zawaliła się starożytna twierdza i zburzyła okoliczne domostwa. Pod gruzami zginęło jedno dziecko, a kilka osób odniosło ciężkie uszkodzenia. Z nastaniem deszczów obawiają się dalszego rozpadania się murów.

Trójka hultajska. Trzej młodzi, ale wytrawni złodzieje stanęli wczoraj przed trybunałem sędziów przysięgłych. Spółka ta składa się: z Antoniego Hirschla, 23letniego pomocnika szewskiego; Adolfa Vogla, 21letniego czeladnika ślusarskiego, i Jana Ograszka, 24letniego pomocnika tokarskiego. W czasie od 25 października do 29 listopada popełnili oni następujące kradzieże: Dnia 25 października włamali się do pomieszkania p. Marcelego Kuczabińskiego przy ulicy Zamarstynowskiej pod liczbą 24 i skradli ztamtąd rozmaite rzeczy wartości 300 zł. oraz gotówkę 40 zł., a 29 października włamali się ponownie do pomieszkania p. Kuczabińskiego i zabrali różne kosztowności: garnitur brylantowy damski, zegarki, srebro stołowe, monety itp., wartości 760 zł. Dnia 17 listopada w południe okradli Kazimierza Szewczaka i Maryana Śniadowskiego przy ulicy Staszica l. 6 (szkoda 28 zł. 95 ct.), dnia 18 listopada wieczorem Wincentego Machczyńskiego przy ul. Trzeciego Maja l. 8 (szkoda 271 zł. 10 ct.), tego samego dnia między 9 a 10 godziną okradli Leopolda Simaka przy ul. Czarnieckiego l. 28 (szkoda 51 zł. 50 ct.), dnia 21 listopada po południu Zenona Juhzego przy ul. Janowskiej l. 11 b. (szkoda 114 zł. 70 ct.), dnia 22 listopada między 5 a 7 godziną wieczorem Hieronima Schillera Schildenfeld (szkoda 60 zł. 90 ct.), dnia 24 listopada w samo południe Józefa Babosza przy ul Bema l. 18 (szkoda 81 zł. 20 ct.), dnia 25 listopada Hermana Kollera przy ul. Piastów l. 7 (szkoda 103 zł. 34 ct)., dnia 26 listopada między godziną 6 a 9 wieczorem, Fryca Schneidera przy ul. Małeckiego l. 2 (szkoda 249 zł.), wreszcie dnia 29 listopada między 4 a 6 po południu włamali się do mieszkania Ludwika Czuczwary i Zygmunta Wisłockiego przy ulicy Leona Sapiehy l. 45, skąd zabrali rzeczy wartości 141 zł.

Kradzieże więc popełniała spółka w rozmaitych porach dnia, a pracę w ten sposób rozkładała, że Vogel otwierał witrychem zamki i razem z Hirschlem zabierał łup, zaś Jan Ograszek stał na straży i pilnował, aby ich nie schwytano. Narady odbywali wspólnicy w restauracyi przy ulicy Kamińskiego, zaś łupem dzielili się najczęściej na błoniach Janowskich, kosztowności wreszcie zastawiali w bankach zastawniczych za pośrednictwem ekspresa. Pomienione kradzieże popełniano nawet w biały dzień, w samo południe. Złodziejom wszystkie wyprawy się udawały i to jest najlepszym dowodem ich zręczności i śmiałości. I kto wie, jak długo byłaby istniała ta spółka, gdyby przypadek nie zrządził, iż niebezpieczni ci złodzieje dostali się w ręce policyi. Oto w dniu, kiedy popełnioną została kradzież u Józefa Babosza, przy ulicy Bema, robotnicy naprawiali kanał na tej ulicy. W chwili, gdy trójka wychodziła z domu pod l. 18, jeden z owych robotników poznał wśród nich byłego swego kolegę za czasów służby u p. Bratkowskiego. Otóż za wskazówką owego robotnika, policya potrafiła dopiero wpaść na trop sprawców tych kilkunastu kradzieży. Wszyscy trzej obwinieni przyznają się szczegółowo do wszystkich kradzieży, a myśl zawiązania spółki podał Jan Ograszek, który też wynajdywał pomieszkania, do których się mieli włamać.

Niektóre skradzione rzeczy oskarżeni zatrzymali dla siebie, to też występują obecnie bardzo elegancko ubrani, resztę sprzedawali za bezcen żydom na Krakowskim placu. Po spełnieniu zaś jednej kradzieży tak długo odpoczywali, aż się wy-

---

12)

PAWEŁ BOURGET.

ZA MORZAMI.

(Ciąg dalszy).

Jak rozmawiają Amerykanie? To pytanie jest najważniejsze zarówno w stosunku do dam jak i do mężczyzn, należących do dobrego towarzystwa. Sztuka prowadzenia rozmowy stanowi pobudkę i najistotniejszą sprężynę wszelkich zebrań towarzyskich, a zarazem ciężki kłopot, gdy rozmowa staje się czczą i nudną; w każdym razie sztuka ta może służyć za dobrą charakterystykę modnego świata. Lecz jak zaznaczyć cechę tej rozmowy, nie przepisując całej seryi dyalogów, co byłoby i nieprzyjemne i niedyskretne? Mojem zdaniem, tonu rozmów należy przedewszystkiem szukać w powieściach pisarzy, którzy znają i kochają swoje społeczeństwo. To też pierwsze nowele Henryka Jamesa są w tym wypadku najlepszymi dokumentami. Mówię pierwsze, gdyż powieściopisarz ten studyował później Amerykanów na obczyźnie. Nikt lepiej od tego mistrza nie odtwarzał odcieni i zwrotów mowy, używanych przez mieszkańców Bostonu i New-Yorku. Co się tyczy leciuchnej pianki gadaniny codziennej, tego chwilowego nastroju umysłu, który z takim humorem i talentem odzwierciadla u nas Gyp, zdaje mi się, że w Ameryce nikt pod tym względem nie stanął wyżej od kobiety dystyngowanej, piszącej pod wsławionym pseudonimem Juliana Gordona. Do jej powieści odsyłam też czytelnika europejskiego, który zapragnąłby nie jadąc za Ocean, nabrać należytego pojęcia o tonie konwersacyi amerykańskiej. Bo Amerykanie lubią bardziej gawędzić niż Anglicy, a prawie tak samo jak Francuzi gustują w gawędzie, zwłaszcza ci, w których żyłach płynie zapalna krew irlandzka.

Dla scharakteryzowania tego, o co nam idzie, trzeba się zastanowić nad tem, z jakiego punktu zapatrywania, wychodzi rozmawiający.

Przypuśćmy, rozmawiasz z Francuzem. Jeżeli ma dowcip i werwę, po jakich dziesięciu pytaniach i odpowiedziach, gawędzisz z nim już w najlepsze. Daje się on unosić kaprysom swych asocyacyi myśli, tak, że po upływie godziny dotknęliście mnóstwo przedmiotów, bez metody wprawdzie, bez korzyści, ale czas upłynął ci przyjemnie. Twój interlokutor pozostawia ci wrażenie umysłu otwartego, mającego pojęcie o wielu rzeczach.

Nie zauważyłeś jednak tego, co nastręcza się w każdej rozmowie z Amerykanką lub Amerykaninem, mianowicie tej energii, nie słabnącej nawet w błahych rozmowach, inteligencyi, zapatrującej się na życie z pewnego niewzruszonego punktu widzenia, w który cię wtajemnicza. Np. kobieta światowa, rozmawiająca z tobą w kącie salonu pośród kwiatów i światła, urobiła swą osobę podług pewnego, z góry obranego typu. Ta oto n. p. postanowiła sobie być wielką damą angielską. Bawiła długo w Londynie i umiała tam wyrobić sobie pewną pozycyę. Niepodobna jej odwieść od tego punktu widzenia i nie wydobędziesz z niej ani jednej myśli, któraby nie była angielską, a specyalnie londyńską. Tej drugiej uwidziało się być Paryżanką i jej rozmowa obraca się nieustannie w kółku, które przypomina Paryż. Dla niej istnieją tylko francuskie książki, francuscy artyści, francuskie sztuki i francuscy aktorzy.

Znów innej przyszedł do głowy jakiś sceniczny dyletantyzm. Brała lekcyę deklamacyi i ma dobrą wymowę. Wszystkie jej rozmowy toczą się o teatrze. Czwartą interesuje nadewszystko literatura. Po kwadransie rozmowy z nią przekonasz się, iż, pomimo całego zamętu świata, w którym żyje, znalazła czas na olbrzymią lekturę i rozprawia o piśmiennictwie z tem odcieniem specyalności i dokładności, jaki Amerykanie wszyscy posiadają. Pewien mój przyjaciel, Francuz, którego chciano ożenić z młodą, bardzo bogatą panną, zerwał małżeństwo dlatego, że jego narzeczona wykładała mu raz przez cały wieczór teoryę nowego systemu budowy lokomotyw. „Nie mogę się przecież żenić z inżynierem“ — była jedyna odpowiedź z jego strony na wymówki, któremi obsypywali go znajomi.

W ogóle jednak można powiedzieć, iż ów punkt widzenia nie jest znów tak bardzo surowy i suchy, i że w rozmowie Amerykanów, a zwłaszcza Amerykanek odnaleść można drugi rys, który ratuje ich od pedantyzmu. Tym rysem jest żywość. W ich każdem słowie tkwi pewien powab rzeczywistości, podobnie jak w ruchach i gestach. Nic nigdy nie ma abstrakcyjnego, ani błahego, każde słowo maluje dokładnie rzecz i zdradza doświadczenie.

Amerykanie umieją opowiadać malowniczo i gdy są weseli, wykazują humor oryginalny i nowy. I w tym wypadku zarówno w światowej kobiecie, jak i w bogatym mężczyźnie znać, że pochodzeniem swem są bliscy ludu. Przejawia się to także w pewnej naiwności, cechującej ich rozmowy. Dwuznaczne przenośnie lub domyślniki, ukrywające cośkolwiek nieprzyzwoitego, są stanowczo wykluczone, a obmowa przytrafia się bardzo rzadko. Naśladowania impertynenckiego tonu arystokracyi europejskiej, który stanowi słabą stronę towarzystwa mieszczańskiego, nie spotyka się tu wcale. Jest sobie szyderstwo. Jest go nawet dużo, ale jestto szyderstwo, które nikogo nie rani. Widoczne jest ono przedewszystkiem w wesołych anegdotach, a indywidualne rysy charakterów stanowią jego główny przedmiot. Są nicowane niezręczności towarzyskie z wybornym humorem, a między niemi pierwsze miejsce zajmuje ubieganie się o względy możnych lub utytułowanych. W ogóle jest Amerykanin u siebie prostym i serdecznym, i każdy, przypatrzywszy się mu, przyznać musi, że jestto człowiek według miejscowego wyrażenia *good natured*, dobry z natury. Niewiele w nim nienawiści i zazdrości, przytem zabawić go nietrudno.

Zrobiłem spostrzeżenie, że dwie tylko materye stanowczo wykluczone są z rozmowy towarzyskiej: polityka i religia. To pomijanie ich milczeniem musi się wydać tem dziwniejszem, że skądinąd stanowią one przedmiot największej troskliwości Amerykanów i że nigdzie tak żarliwie nie zajmują się ludzie niemi jak w Ameryce. Można to sobie rozmaicie tłumaczyć, ale ja sądzę, że w tem mamy jeszcze jeden dowód tego, jak Amerykanie umiejętnie rozdzielają uczucia głębokie od przyjemności światowych, i jak silną wolę wkładają do wszystkiego, co robią. Nigdy w Ameryce nie usłyszysz, żeby aferzysta po wyjściu z biura lub z kantoru rozmawiał o interesach swego zawodu. Ta sama energia, która pozwala Amerykaninowi oddać się całkowicie tej pracy, jaką ma w biurze lub w fabryce, pozwala mu, gdy nadejdzie godzina odpoczynku, oddać się także całkowicie zabawie. Jednego z drugiem, pracy z zabawą, próżnowania z robotą nie mięsza Amerykanin nigdy. Powiedziałbym, że umysł ich ma szufladki które po kolei otwiera; więc raz szufladkę pracy zawodowej, potem szufladkę konnej jazdy lub innego sportu, potem znów inną szufladkę. W jednej z podobnych szufladek mieści się u nich polityka, w innej religia, w innej jeszcze sprawy społeczne. A wreszcie polityka nie jest tutaj jak u nas na łasce fantazyi i namiętności publicznych. Ona uorganizowana tu jest jak przedsiębiorstwo, a stronnictwa reguluje maszyna, która nie pozwala na zboczenia dowolne, ani na żadne drobne intryżki.

Co do religii, to bezwzględna swoboda sumienia tak rozmnożyła w Ameryce sekty i tyle natworzyła odcieni w tych sektach, iż wszelka dyskusya w tej materyi stała się niemożebną; byłby to bowiem nigdy nieustający konflikt opinii i przekonań.

Otóż ten właśnie brak zupełny drażliwego żywiołu w rozmowie daje pogadance wszelkiej charakter rozbrojonej dobroduszności i serdeczniejszej niż gdziekolwiekbądź prostoty. Ja przynajmniej tak sobie to objaśniam, nie wyrokując w żadnym razie bezwzględnie, bo w ogóle nie przystoi wyrażać się o tem w formie absolutnej pewności cudzoziemcowi, który w tak ważnych kwestyach spostrzeżenia swoje koniecznie tego rodzaju zastrzeżeniem opatrzyć powinien.

(Ciąg dalszy nastąpi).

czerpały pieniądze wszystkie ze sprzedaży skradzionych rzeczy i wiedy przystępowano do dalszej pracy.

Do rozprawy, którą prowadzi radzca p. Lorenz, zawezwano dwudziestu kilku świadków. Trójki bronią pp.: dr. Hahn i Wüllerstorf, zaś oskarżenie wnosi zastępca prokuratora p. Kerber.

Deputacya m. Tarnopola, złożona z burmistrza dra Pohoreckiego, rz. kat. proboszcza ks. Jahnera i dra St. Glogera przybyła do Lwowa i czyni starania, aby Rada szkolna krajowa zmieniła swą uchwałę w sprawie przeniesienia męskiego seminaryum nauczycielskiego z Tarnopola do Czortkowa. Deputacya przyrzeka w imieniu miasta wybudować wielki internat dla uczniów nauczycielskiego seminaryum, w którymby mógł być nad nimi rozwinięty ścisły nadzór i możnaby zapobiedz niezdrowym agitacyom wśród nich się szerzącym.

Konferencye rekolekcyjne ks. Ignacego Mellina odbędą się w kaplicy u OO Jezuitów 7, 8 i 9 kwietnia każdego dnia o godzinie 7 wieczorem.

Ceny zboża. Ks. Jan Szczepek z Krakowca donosi nam, że sprzedał żyto 100 kilgr. loco spichlerz à 6 złr. 10 ct., a jęczmień à 5 zł. 90 ct. Należytość składa kupiec z góry, a odbierze zboże ze spichierza z końcem kwietnia 1895.

Z Monachium piszą: Dnia 25 marca mieliśmy teatr amatorski urządzony staraniem członków Towarzystwa „Bratnia pomoc". Jak zwykle, tak i tym razem, doskonale się udał; powodzenia zresztą z góry można się było spodziewać, znając siły, biorące udział w tym wieczorze. Pierwszą część programu wypełnił koncert, w którym panna Lili Rejchardt (uczenica konserwatoryum muzycznego w Monachium) grała na skrzypcach „Ave Maria" Gounoda (z akompaniamentem siostry, Olgi Rejchardt), potem „Concert" Beriot'a, wreszcie z wielkiem powodzeniem „Cavatinę" Raffa. Część muzyczną zakończył śliczny tercet: fisharmonia, fortepian i skrzypce (panny Rejchardt i pp. Jaroński i Horodyski). Tercet, grany świetnie, wyszedł po za obręb zwykłych popisów amatorskich; urocza wiolinistka, panna Lili Rejchardt, jest talentem istotnym, wiele obiecującym, a obecnie dużą już bardzo popartym techniką. Śpiew reprezentowała panna Felicya Romanowska (śpiewaczka koloraturowa pierwszorzędna, obecnie robiąca *tournée* koncertowe w Niemczech). Zacząwszy Saint Saensa „Samsonem i Dalil'ą", artystka przeszła do „Bekehrte" Maxa-Stange; następnie zachwyciła wszystkich „Barkarolą" Galla, jak i „Si tu le voulais" Tostiego, a zakończyła koncert „Życzeniem" Chopina. Poezyą i serdeczną głębią uczucia dzielna artystka zmuszała słuchaczy do ciągłych oklasków. Labiche'a farsa „Moja córeczka" stanowiła drugą część programu. Dusza tutejszych przedstawień amatorskich, główny ich organizator, reżyser i aktor pan Nowakowski, grał umiejętnie i pewnie główną rolę Trebucharda. Zabawną, pełną komizmu córeczką była panna Sokołowska, z Grudenvala stworzył p. Tourquieur kapitalną figurę prowincyonalnego niedołęgi i chorowitego maniaka. Za dobrze graną choć niewielką rolę Klary, panna Iza Poznańska zyskała poklask. W pięknym, huzarskim uniformie, p. Jasieński dobrze reprezentował kapitana Pigonaseau, a pannie Irenie Serdzie trzeba przyznać, że małą rolę służącej grała swobodnie. Po ukończeniu widowiska część zebranych gości bawiła się jeszcze tańcami i rozegraniem tomboli. Nie brakło także i gazetki: „Jednodniówka"; wydana pod redakcyą p. Władysława Prusaka, miała powodzenie; anonimowo pisane aforyzmy, satyry i ogłoszenia podobały się ogólnie.

Zmarli. Ludwik Freindelsberg, emer. dyrektor skarbu, umarł w Krakowie w 88 roku życia. — Katarzyna Szenderowiczowa, umarła we Lwowie w 57 roku życia. — Henryk Probst, b. pułkownik 20 pułku piechoty, umarł w Krakowie w 58 roku życia. — We Lwowie zmarli: Wacław Stach, emer. zarządzca salinarny, w 79 roku życia. Fr. Ksawery Nitecki, emer. nadzarządca poczt i telegrafów w 74 roku życia. Elżbieta Palmarin, wdowa po urzędniku dyrekcyi skarbowej w 85 roku życia. Julia Mandyczewska, córka radcy namiestnictwa śp. Teofila Mandyczewskiego. Aleksander Cybulski, kupiec. Julia Strońska, wdowa po oficyaliście prywatnym.

Stan powietrza. T. o 8 rano + 4° R. w poł. + 8° R. Bar. 756. Spada. Pogoda.

Francuszczyzna z Pacanowa. W ręce redakcyi jednego z pism warszawskich wpadł list francuski pisany przez pannę Józefinę R. do przyjaciółki na wsi mieszkającej. List ten wyborny głównie przez to, że jest pisany stylem polskim, a językiem francuskim, co otwiera pole do przeróżnych dwuznaczności, podajemy w całości z zachowaniem błędnej ortografii. Oto on:

Ma mie!

Ta dernière lettre nous a causé une plaisir voluptueuse. Je voi que ton coeur batte comme il à battu auparavant. Tu m'interroge comment nous chassons le temps ici? Quand à moi je m'amuse médiocrement, parcque mon pere chaque jour me jette dehors que je depense beucoup d'argent. Je lui traduie que ce le seul façon de se découvrir pour un mari, à Varsovie comme on te voit on t'ecrit.

J'etait ausi au concert des étudians parsque beucoup des dames m'ont assuré qu'il faut faire tout son possible pour les étudians. J'admiré madame de Lüde qui quoique nouvellement marié, est toujour belle et fraische comme avant la noce.

A Varsovie il y a maintenant beaucoup de boue, mais le stróże bailles jour et nuit, ainsi elle sera bientot purifier.

En attendant la lettre, je me couche un peu pour avoir des forces dans la nuit.

Ta inchangeable *Josephine*

Teatr. Dziś we czwartek „Carmen", opera w 4 aktach Bizeta. W piątek przedstawienie składane na dochód Stowarzyszenia dziennikarzy polskich. W przedstawieniu tem weźmie udział cały personal teatru hr. Skarbka, oraz pp. Marya Kozłowska, Aleksander Myszuga i Julian Jeromin. Program obejmuje: „Pójdźmy za nim" Henryka Sienkiewicza", „Ostatni grosz" M. Wołowskiego, „Na przekor" Z. Przybylskiego, nowy monolog Gustawa Fiszera.

Pp. Żelazowscy od pewnego czasu nie występują na scenie z powodu, że pięcioletni ich synek umarł na szkarlatynę i dyfteryę.

Literatura i Sztuka.

Kronika muzyczna. Kilka razy już donosiliśmy o występach młodego pianisty Józefa Hofmana w Berlinie, w Paryżu i w Anglii, notując głosy tamtejszej krytyki o popisach naszego rodaka. Józef Hofman po tryumfach, odniesionych za granicą, odwiedził rodzinny swój Kraków i wystąpił tu z koncertem, którego powodzenie było, jak się tego łatwo można domyśleć, olbrzymie. Powaga na polu krytyki muzycznej, prof. Franciszek Bylicki, który zwykle nie lubi trwonić słów na zachwyty, tym razem znajduje się zupełnie pod wrażeniem potężnej gry młodego wirtuoza. „Gra Józefa Hofmana, są słowa prof. Bylickiego, działa na słuchacza, jak świeży powiew, którego się pragnie tem więcej, im mniej się nim obecnie oddychać może. Jesteśmy znużeni i znudzeni rzeszą wirtuozów, co ogryzki i ochłapy sztuki pielęgnują, którzy wynoszą na targ tandetę i odziewać nią pragną arcydzieła. Zaledwie drobna garstka umie wynieść się nad poziom tych wędrownych cyganów. Dlatego też artysta, który posiada prawdziwy zasób uczucia, poezyi i fantazyi, a obok tego olbrzymie, zdumiewające środki wypowiedzenia wszystkiego, co czuje, jest zjawiskiem upragnionem. Józef Hoffman porywa grą swoją od początku do końca, bajecznie posłuszna ręka chwyta pewną garścią najzawilsze trudności po to, aby je rozsypać w najpiękniejsze perły. Opanowanie instrumentu, wyzyskanie jego piękności odbywa się z taką łatwością, że słuchaczowi nie przychodzi na myśl zastanawianie się nad stroną techniczną. Rozliczne odcienie lecą po sobie bez owych odetchnień na słabe płuca obliczonych, czy największa siła, czy szmer, to wszystko bez wysiłku, naturalne, pełne cudownego wdzięku, rytmiczna strona pełna żywości młodzieńczej, jasna i porywająca.

„W programie koncertu był szereg dzieł muzycznych, dający pole do rozwinięcia wszelkich zalet artystycznych. Bach w przerobieniu przez d'Alberta, ze swoją potęgą prostoty, ze swojemi właściwemi liniami, których uwydatnienie wymaga ręki skończonego artysty — Mendelsohn w pieśniach, a szczególnie w pieśni (a mol), zagranej nad wszelki wyraz pięknie — dalej wspaniały polonez Szopena, wykonany z prawdziwie Rubinsteinowskiem zacięciem, drobne, zręczne utwory Bersona, wspaniale wykonane pieśni Schuberta w transkrypcyi Liszta, śliczny walc Rubinsteina, wykonany niezrównanie, rapsodya Liszta i mnóstwo dodatków nad program — oto szereg dzieł, nad których wykonaniem rozentuzyazmowana publiczność nie dość mogła się nazachwycać. Wstyd mnie doprawdy, że jako osiwiały w recenzyach, nie umiem się dziś na nic innego zdobyć, jak tylko na największe pochwały. Ale jest to rzadki wypoczynek i wdzięczny jestem za to koncertantowi — krytykę zatem zostawiam surowszym odemnie.

„Józef Hoffmann wystąpił także jako kompozytor. Nie jest to bynajmniej nowością — jego talent kompozytorski ma już rozgłos — i zupełnie zasłużony. Inwencya, wyborna faktura fortepianowa, śmiałość, a w wielu miejscach prawdziwa oryginalność nadają utworom jego cechę głębszą, i wyróżniają je od wielu dzisiejszych utworów. Zatem niechajże ten genialny chłopiec roznosi przez najdłuższe lata szeroko i daleko sławę polskiego imienia".

Oprócz młodego Hofmana, obok takiego olbrzyma, jak Paderewski, wreszcie obok wybijających się coraz energiczniej na pierwszy plan Stojowskiego i Śliwińskiego, w gronie pianistów polskich, którzy teren działania obrali sobie po za granicami kraju, p. Helena Krzyżanowska, znana jako wirtuozka i jako kompozytorka, zajęła stanowisko także nieposlednie. Mieliśmy sposobność o niej kilka razy już pisać. Świeżo odbył się w paryskiej sali Erarda koncert p. Krzyżanowskiej. Rozpoczął się od sonaty *re minor* kompozycyi p. Krzyżanowskiej. Utwór ten składa się z *allegro, largo, menuetto* i *presto* i celuje świetnem opracowaniem. Artystka grała nadto trzy mniejsze utwory własne, mianowicie „Mazurka", „Reverie" i „Valse Ballet". Prócz swoich kompozycyi p. Krzyżanowska dała słuchaczom program bardzo urozmaicony, złożony z Szumana, Bacha, Mozarta i Haendla oraz trzy utwory Szopena, między którmi też pośmiertne „Adagio", znaleziono niedawno w Warszawie. Transkrypcyę kwartetu z „Henryka VIII" Saint Saensa, odpowiadającego wybornie jej temperamentowi, artystka wykonała też ze znakomitą techniką. Panna Krzyżanowska przyjmowana była przez licznie zebranych słuchaczy kwiatami i oklaskami, osobliwie po odegraniu własnego „Valse Balet" i Mozarta „Gigue". 30-go marca również w sali Erarda koncertował Zygmunt Stojowski, ze współudziałem Władysława Górskiego, który z towarzyszeniem orkiestry wykonał na skrzypcach „suitę" z polskich tematów, dotąd nigdzie nie graną, oraz inne kompozycye.

W Paryżu prócz p. Górskiego mieszka drugi skrzypek polski p. Franciszek Godebski, syn znanego rzeźbiarza Cypryana Godebskiego. Przed kilku dniami dał koncert w tak zwanym instytucie Rudy'ego przy ulicy Royal, złożony z dzieł muzyki koncertowej. Kwartet, złożony z dwóch skrzypiec, altówki i wiolonczeli (p. Godebski grał na skrzypcach), wykonał ekscentryczną i przejmującą kompozycyę Smetany „Z mojego życia" poczem p. Godebski z towarzyszeniem fortepianu i wiolonczeli grał własny utwór p. t. „O świcie" z cyklu „Marzenia i skargi", odznaczający się głębią melodyi i techniką kompozycyjną. Na tym samym koncercie jeden z solistów francuskich odśpiewał „Pieśń miłosną" p. Godebskiego do słów Armanda Silvestra.

Od czasu Szopena wyrobiła się wśród muzyków polskich pewna stała tradycya: dążenie na zachód do wielkich ognisk artystycznych, w których oczywiście łatwiej o wydoskonalenie się w tym lub owym kierunku, aniżeli w kraju. Dzięki temu pierwszorzędne gwiazdy polskiego świata muzycznego przyzwyczailiśmy się widzieć za granicą w pogoni za sławą i majątkiem. Ale z pewnością niespodzianką będzie dla czytelników naszych, interesujących się polskim ruchem artystycznym, wiadomość, że aż w Buffalo znalazł się Polak, który tam jest honorowany i ceniony jako wybitny kompozytor. Jest nim mianowicie p. Jarosław Zieliński, u nas zupełnie nieznany, a więc widocznie wykształcony już za oceanem. P. Zieliński skomponował operę pt. „Kleopatra" o czem dowiadujemy się z doniesienia pewnej gazety amerykańskiej, która pisze z najwyższemi pochwałami o wyjątkach z tej opery, odegranych na koncercie symfonicznym w Buffalo. Podobno najpiękniejszym ustępem jest „Marsz wschodni", który na publiczność tamtejszą wywarł potężne wrażenie.

Z dawnego polskiego repertoaru, o którym mamy wyobrażenie już tylko ze słowników muzycznych, wyjęto w Radomiu zapomnianą operę Kurpińskiego „Bojomir i Wanda" i wykonano ją w całości siłami amatorskiemi. Nadspodziewanie zabytek ten doznał — jak zapewnia jedno z pism warszawskich — „wielkiego powodzenia pod każdym względem", tak iż trzy razy powtarzano przedstawienie w zapełnionej sali, a dochód pierwszego wieczoru wyniósł 839 rs. brutto, zaś 593 rs. po potrąceniu kosztów. Daje to miarę zapału, z jakim Radom powitał „Bojomira i Wandę", których nie wiadomo czy w ogóle kiedykolwiek przedstawiano. Amatorowie tamtejsi podobno bardzo korzystnie wywiązali się z zadania, a liczna orkiestra, również amatorska, dotrzymała im kroku. Jestto w ogóle fakt arcychwalebny, a u nas z pewnością nie do osiągnięcia, ażeby w prowincyonalnem mieście, nie przekraczającem cyfry 30.000 mieszkańców, siły amatorskie porwały się do kompletnego wykonania opery i wyszły z tej próby zwycięsko. Dlatego też zapisujemy go tu z całą satysfakcyą i uznaniem dla dobrowolnych artystów.

Jak powstała „Aida"? Pytanie i odpowiedź zarazem, jedno i drugie zarówno ciekawe dla każdego wielbiciela tej słynnej opery, znajdujemy w biografii zmarłego niedawno Izmaela baszy. Basza ten był wielkim admiratorem i przyjacielem Verdiego i nikt inny, tylko on właśnie ma tę zasługę, że cała Europa może dziś podziwiać skarby wielkiego talentu nagromadzone w „Aidzie". Jeszcze jako kedyw Egiptu Izmael, który był w ogóle miłośnikiem muzyki, pomyślał sobie, że dla chwały Egiptu byłoby dobrze, gdyby kraj ten posłużył za tło do jakiejś wielkiej opery znakomitego kompozytora. Ponieważ Verdi już wtedy stał na piedestale światowym, kedyw zaapelował do niego; Verdi przyjął propozycyę jak najlepiej i tak zrodził się zamiar napisania „Aidy". Izmael formalnie zapalił się do tej myśli. Właśnie wtedy budował nadworny swój teatr w Kairze i za punkt ambicyi postawił sobie otworzyć go pierwszem przedstawieniem „Aidy", która miała dla kedywa potrójny urok: raz dlatego, że ją pisał taki muzyk jak Verdi; powtóre, ponieważ w perspektywie uważał ją już za narodową operę Egiptu, a nareszcie, ponieważ inicyatywa do tego dzieła wyszła od niego. Upragniony cel kedywa został osiągnięty. Dnia 13 grudnia 1871 odbyła się premiera „Aidy" w kraju piramid, połączona z uroczystością otwarcia nowego teatru kedywa.

Wykonanie było świetne, Aidę śpiewała Lucca. Izmaił który chciał być niejako współautorem Verdiego, a do muzyki jako profan wtrącać się nie mógł, postanowił wziąć na siebie część dekoracyjną i stworzyć coś niebywałego w dziejach teatru. Ze znaną swoją rozrzutnością wyasygnował na ten cel bajeczne sumy, za które sporządzono rzeczywiście wspaniałe dekoracye i kostyumy przy pomocy słynnego egiptyologa Mariette baszy, a według oryginalnych zabytków staroegipskich, które później stały się ozdobą muzeum Bulakh. Honoraryum, jakie wyznaczył za napisanie „Aidy" Verdiemu, przechodziło najśmielsze marzenia kompozyrora. Verdi otrzymał 150.000 fr.

Dnia 25 marca przedstawiono na scenie medyolańskiego teatru La Scala po raz pierwszy nową dwuaktową operę Mascagniego „Silvano". Akcya opery rozgrywa się w pewnej wiosce rybackiej nad Adryatykiem, a jest pomysłem samego kompozytora, udramatyzowanym przez Tozzettiego. Występują tylko cztery osoby i chór. Młody rybak Silvano, zasądzony zaocznie za przemytnictwo, powraca ułaskawiony po kilkoletniej nieobecności do rodzinnej wioski, gdzie zamierza poślubić dawną swoją narzeczoną, młodą wieśniaczkę Matyldę. Ta jednak podczas jego nieobecności uległa zabiegom innego młodego rybaka, Renza, który wiedział o jej poprzednich stosunkach z Silvanem, i obecnie, trapiona wyrzutami sumienia, usiłuje przeszkodzić zetknięciu się rywalów. Mieszkańcy wioski gratulują Silvanowi szczęśliwego powrotu, tylko Renzo nie bierze w tem udziału; nadto obraża Silvana, wyrzucając mu jego przeszłość. Tylko interwencya obecnych i zjawiająca się w tej chwili matka Silvana zapobiegają krwawemu starciu młodzieńców. W domu Matyldy przychodzi do gwałtownej sceny z Renzem, który wreszcie zgadza się ustąpić i miotając dzikie pogróżki i przekleństwa na Silvana, odchodzi. Akt drugi rozpoczyna się przy spuszczonej kurtynie potężną pieśnią choralną rybaków, wypływających na morze. Gdy kurtyna się podnosi widać samotne wybrzeże morskie podczas zachodu słońca. Zjawia się Silvano ze swoją matką, która nadaremnie usiłuje go odwieść od zamiaru małżeństwa z Matyldą. Gdy matka odchodzi, Silvano kładzie się na ziemię i marzy na jawie o swem przyszłem szczęściu. Tymczasem zjawia się w pobliżu pomiędzy skałami Matylda, która przyszła tutaj, zniewolona zaklęciami Renza. Silvana budzi z zadumy gwałtowna scena, rozgrywająca się pomiędzy jego narzeczoną a Renzem, zrywa się i bez namysłu strzela z pistoletu do rywala, którego zabija, sam zaś ucieka. Z okrzykiem Matyldy: „Na pomoc!" zapada kurtyna. Jak z tego streszczenia widać, libretto nowej opery przypomina ogromnie „Cavallerię" i to nietylko samym przebiegiem intrygi, ale i tem, że główną rolę w niej gra uczucie zazdrości. Bohaterka jest drugiem wydaniem Santuzzy, a dwaj zabijający się dla niej rywale Renzo i Silvano, odpowiadają zupełnie roli, jaką w pierwszej operze Mascagniego spełniają Alfio i Turridu, tj. wprowadzają do dramatu *lejtmotiv* w postaci zazdrości. Widocznie ten rodzaj uczucia najchętniej ilustruje młody mistrz włoski, tak samo jak jego rywal Leoncavallo, który sobie nawet sam napisał libretto oparte na zazdrości.

Głosy publiczności.

„Dom pracy" pod godłem Opatrzności, założony niegdyś przez Leonową ks. Sapieżynę, okazuje się dziś za szczupłym z powodu coraz większego napływu ubogich, pragnących tam znaleść opiekę i przytułek. Zamierzyłam więc udać się do miłosierdzia najszerszych sfer z gorącą prośbą o pomoc, aby w myśl przezacnej fundatorki, dzieło to oparte na miłości bliźniego, mogło się utrzymać, podnosić i wzrastać.

Skoro tylko poruszoną została myśl zbierania składek na postawienie nowego domu, hojne bardzo dary wpływać zaczęły. Umieszczając poniżej spis łaskawych ofiarodawców, proszę, aby zechcieli przyjąć serdeczne „Bóg zapłać!" za ofiarność, gorliwość i za wskazanie drogi, którą może inni łaskawie pójść zechcą. *Marya Badeniowa.*

Ofiary pieniężne na „Dom pracy" przyjmuje p. Ignacy Drexler, plac Kapitulny.

Inne zgłoszenia ofiar na budowę Domu pracy, jak: cegieł, kamieni, piasku itd., raczą ofiarodawcy przesyłać na ręce pana S. Hawryszkiewicza, radzcy ludownictwa w namiestnictwie.

Dobrowolne składki na budowę „Domu pracy" Towarzystwa miłosierdzia we Lwowie: Jan i Karol Schultz 10.000 cegieł, Mikołaj Krasucki 10.000 cegieł, Jakób M. Reiss 10.000 cegieł, bracia Wczelacy wyroby stolarskie wartości 200 zł., Jan Daschek okucie do 20 okien, budowniczy Bronisław Bauer 150 fur piasku, Leon Bratkowski 100 zł., Sylwester Berski 25 zł., Eliasz Hescheles 10 sześciennych metrów kamieni, B. Neuwohner 2500 cegieł, M. J. Neuwohner 2500 cegieł, Aron Gruder 3500 cegieł, Mayer Gruder 2500 cegieł, Jakób Neuwohner 2500 cegieł, Philipp et Chreni 2500 cegieł, Domaszewicz 2500 cegieł, Knosef et Oberhard 2000 cegieł, F. Nicker et Baum 2500 cegieł, Gruder et Byk 2500 cegieł, J. Ch. Sprecher 2000 cegieł, dzierżawcy Lubingera 2500 cegieł, kupiec Jan Schuman żelaziwo do pieców wartości 30 zł., Piotrowicz et Schumann 200 kg ankrów do murów.

SPORT.

Wyścigi konne w Krakowie.

Sekretaryat Towarzystwa międzynarodowych wyścigów konnych w Krakowie zawiadamia nas, że po ostatniem wycofaniu koni w dniu 1 kwietnia br. z biegu o nagrodę „Derby krakowskie" z dotacyą 40.000 koron mającego się odbyć w dniu 23 czerwca b. r. następujące 37 koni udział wziąść mogą: 1) Panajatti, 2) Gounod, 3) Si-St., 4) Armer Peter, 5) Veilchenfresser, 6) Csaplarós, 7) Maharadsa, 8) Zivatar, 9) Gogerl, 10) Beesheap, 11) Geh' weg, 12) Alterum tantum, 13) Kurucz, 14) Girsevald, 15) Isolani, 16) Toreador, 17) Paraszt, 18) Hradisko, 19) Castriot, 20) Goliath, 21) Janicsar, 22) Mademoiselle de Poutignac, 23) Mademoiselle de St. Vigor, 24) Gyerkőcz, 25) Compagnon, 26) Napagedl, 27) My-own, 28) Coreggio, 29) Victress, 30) Cham, 31) Burza, 32) Wiosna, 33) Ideal, 34) Britannicus, 35) Vincsi, 36) Levente, 37) Földi. Ze względu na okoliczność, że Derby po raz pierwszy na torze krakowskim z współzawodnictwem koni pierwszej klasy z różnych krajów się odbędzie, bieg ten nietylko w kole miłośników sportu, ale także u szerszej publiczności niewątpliwie wielkie zajęcie obudzi.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 2 kwietnia.

(Z.) Dwa wypadki zaszły wczoraj, które w zwykłych warunkach musiałyby wywrzeć na giełdzie bardzo niekorzystne wrażenie. Antysemici odnieśli wielkie zwycięztwo przy wyborach do rady miejskiej, a w Peszcie podrzucono bombę pod pomnik jenerała Hentziego. Ale gorączka spekulacyi w walorach kolejowych jest tak wielka, że tym razem dwa wypadki tak bardzo obchodzące sfery giełdowe przeszły prawie bez wrażenia. Jak opętani biegali spekulanci po sali, a każdego nowo przybywającego zarzucano pytaniami, czy nie ma jakich nowin z komisyi budżetowej odbywającej właśnie posiedzenie. Do południa bano się forsować zwyżkę, to też ruch był nieznaczny, naraz na godzinę może przed zamknięciem giełdy zawrzało w sali, gruchnęła bowiem wieść, że hr. Wurmbrand złożył już deklaracyę, w której zapowiada rychłe upaństwowienie kolei. W ciągu kilku minut podskoczyły elbethale o 7 zł., a Statsbahny o 4 zł. Wiadomość ta przyniesiona niewiedzieć przez kogo, była wprawdzie przedwczesną, gdyż hr. Wurmbrand dopiero po południu, już po zamknięciu giełdy, miał mowę w komisyi, mimo to jednak, że przedwczesna, nie mijała się ta wiadomość z prawdą, gdyż rzeczywiście pomyślniejszej deklaracyi od tej, jaką złożył hr. Wurmbrand, giełda spodziewać się nie mogła. Jakoż w wieczornym obrocie prywatnym nietylko aprobowano wyższe kursa urzędowej cedułki, ale jeszcze je znacznie podniesiono.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 411·40, węgierskie 475·25, Anglobanki 173·75, Uniony 331·75, Bankvereiny 156·50, Länderbanki 293·20, Ludwiki 222·50, Czerniowieckie 337·—, Elbethale 311·—, Renta papierowa 101·55, srebrna 101·65, austryacka złota 123·95, 4% austr. renta wal. kor. 101·50, węgierska złota 123.85, 4% węgierska renta wal. kor. 99.35, dukat 5·74—, 20-frankówka 9·67½, marki 11·94, ruble 1·31¼.

Wiedeń 2 kwietnia. Spirytus 15·80—16.

§ **Sprawozdanie** tygodniowe izby handlowej i przemysłowej o cenach zboża i produktów we Lwowie od 23 do 30 marca 1895 r. — bez opłaty akcyzowej: Przenica 7·20 do 7·90, żyto 5·45 do 5·95, jęczmień browarny 5·70 do 6·55, jęczmień pastewny 5·10 do 5·65, owies 5·95 do 6·50, hreczka 8·— do 8·45, kukurudza zeszłoroczna 6·25 do 6·80, kukurudza nowa 5·25 do 6·40, proso 0·00 do 0·00, groch do gotowania 6·— do 9·—, groch pastewny 5·25 do 6·20, soczewicza 0·— do 0·—, fasola 0·— do —, bobik 4·25 do 5·40, wyka 5·— do 6·20, koniczyna 45·— do 95·—, tymotka 25·— do 40·—, anyż rosyjski —·— do —·—, anyz płaski —·— do —·—, kminek —·— do —·—, rzepak zimowy 8·60 do 9·50, rzepak letni —·— do —·—, lnianka 6·60 do 7·75, nasienie lniane 0·— do 0·—, nasienie konopne 0·— do 0·—, chmiel 36·— do 62·—, nafta zwykła 16·— do 17·—, nafta salonowa 18·— do 19·—, wosk ziemny —·— do —·—, Spirytus 10.000 litr. pr. gotowy kontyngentowany, bez podatku konsumcyjnego 14·15 do 14·55.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 4 kwietnia. (Rada państwa). W toku wczorajszej debaty nad drugim rozdziałem ustawy o podatku zarobkowym wywiązała się żywa dyskusya nad paragrafami 84, 85 i 86, traktującym o uwolnieniach od podatku. P. Kaiser postawił wniosek, ażeby kasy Raiffeisenowskie wolne były od podatku. P. Schwarz zaś zażądał uwolnienia od podatku kas oszczędności, nie mających więcej jak 10.000 zł. czystego dochodu. Nadto zażądał mówca, ażeby nadwyżkę czystego zysku pocztowych kas oszczędności, jaka pozostanie po dotacyi funduszu rezerwowego, obracano na zaopatrzenie ubogich i w tym celu rozdzielano ją między kraje koronne. P. Tekly wykazywał pożytek, jaki przynoszą spółki rolnicze i domagał się uwolnienia od podatku dla wszystkich towarzystw zarobkowych i gospodarczych, zaś p. Doblhoff żądał jaśniejszej stylizacyi §fu 85, traktującego o siedzibie administracyi spółek rolniczych. Szef sekcyi Böhm oświadczył na to, że rozporządzenie wykonawcze zupełnie wyjaśni tę kwestyę.

Jeneralny mówca *contra* p. Purkhard użalał się, że ustawa ta stawia Raiffeisenowskim kasom na każdym kroku zapory, mówca *pro* p. Marchet popierał wniosek p. Kaisera i postawił wniosek, ażeby dano ministrowi finansów upoważnienie przyznawać uwolnienie od podatków kasom kredytowym i zaliczkowym systemu Raiffeisena. Referent p. Dawid Abrahamowicz zgodził się na ten wniosek.

Wniosek p. Kaisera przyjęto 83 głosami przeciw 80. Ten wynik głosowania powitała izba hucznymi oklaskami. Paragrafy 84, 85 i 86 przyjęto z poprawkami Doblhoffa i Tekly'ego. Paragrafy 87, 88, 89 i 90 przyjęto bez debaty.

Na końcu posiedzenia wniósł minister handlu projekt ustawy o oddaniu Bośnii i Hercogowiny wybudowanej z kredytu okupacyjnego kolei z Brodu do Zenicy, tudzież kolei między sławońskim Brodem a bośniackim Brodem. Następne posiedzenie izby odbędzie się dziś.

Wiedeń 4 kwietnia. Wczorajsze dzienniki poranne ogłosiły szczegóły audyencyi bułgarskiego prezesa ministrów Stoiłowa u Cesarza. Owoż *Polit. Correspondenz* z wyższego upoważnienia zaprzecza tym doniesieniom, jako nieprawdziwym.

Peszt 4 kwietnia. Policya wyznaczyła 1000 zł. nagrody za schwytanie redaktora Szelesa, sprawcy zamachu na pomnik Hentziego.

Monachium 4 kwietnia. Wczoraj otwarto tu zjazd lekarzy chorób wewnętrznych. Omamiano na nim gruntownie działalność leczniczą surowicy antydyfterycznej i podnoszono niezwykłą wartość tego środka leczniczego.

Bruksela 4 kwietnia. Dwaj posłowie, Helleputte i Delfniscone pobili się wczoraj w korytarzu parlamentu. Helleputte powiedział bowiem swemu koledze: „Uważaj się pan za wypoliczkowanego", stąd powstała bójka, która przybrała takie rozmiary, że aż służba parlamentarna musiała rozbroić walczących.

Belgrad 4 kwietnia. Wybory prawyborców z gmin wiejskich wypadły przeważnie na korzyść rządu. Koalicya radykałów i liberałów zdołała zaledwie w kilku gminach przeprowadzić swych kandydatów.

Wiedeń 4 kwietnia. Przy wczorajszych uzupełniających wyborach do rady miejskiej z drugiego koła wyborczego wybrano dwóch liberałów, a pięciu antysemitów. Rada miejska składa się przeto obecnie z 74 liberałów, a 64 antysemitów.

Peszt 4 kwietnia. Policya tutejsza wydała wczoraj notę, w której podnosi, że wszystkie okoliczności przemawiają za tem, iż prawdopodobnie nikt inny, tylko redaktor Szeles podłożył bombę koło pomnika jenerała Hentziego. Poczyniono więc stosowne zarządzenia celem schwytania Szelesa.

Bukareszt 4 kwietnia. Parlament przyjął konwencyę między Rumunią, Austro-Węgrami i Rosyą w sprawie żeglugi na Prucie. Z prowincyi donoszą o wylewach Prutu i wielu małych rzek.

Peszt 4 kwietnia. Woda w Dunaju podnosi się ustawicznie i w Mohaczu dosięgła już tej samej wysokości, jaką miała przed powodzią w r. 1876. Cisa wzbiera gwałtownie a położenie jest bardzo krytyczne w całej dolinie tej rzeki. Wały nadbrzeżne dotychczas są nienaruszone. Rzeka Marosz wystąpiła z brzegów, zalała miasto Maros-Vasarhely, zerwała mosty i groble. Wał kolejowy stoi pod wodą.

Wiedeń 4 kwietnia. Rozeszła się pogłoska, że jeden z członków podkomitetu dla reformy wyborczej, mianowicie br. Dipauli złożył godność członka tego podkomitetu. Pogłoska ta nie została jeszcze dotąd potwierdzona.

Madryt 4 kwietnia. Marszałek Martinez Campos ruszył dziś w drogę na Kubę. Na dworcu żegnały go liczne tłumy entuzyastycznymi okrzykami.

Waszyngton 4 kwietnia. Tutejsza ambasada japońska otrzymała zawiadomienie, że rokowania pokojowe rozpoczęły się na nowo.

Londyn 4 kwietnia. Na dorocznem walnem zebraniu członków stowarzyszenia bimetalistów miał Balfour długą mowę, w której omawiał teraźniejsze stosunki ekonomiczne z powodu drożenia złota i oświadczył, że zdaniem jego wobec tej sytuacyi krytycznej, jaka jest w Ameryce, Niemczech i Francyi, będą musieli monometaliści porozumieć się z bimetalistami i zawrzeć z nimi jakiś kompromis celem naprawienia teraźniejszego stanu rzeczy nie dającego się już dłużej utrzymać.

HOTEL IMPERIAL.
KRZYSZTOF JANOWICZ
Lwów — ul. Trzeciego Maja l. 3.

Przyjechali dnia 3 kwietnia. A. hr. Rastade z Paryża. A. hr. Rayvich z Fiume. S. Łukasiewicz z Kadobestie. M. Bogdanowicz z Bukowiny. Z. Horodyński ze Zbydniowa. S. Grünzweig z Wiednia. A. Wechsler z Wiednia. F. Kubal z Wiednia. M. Pollak z Wiednia. J. Löbenstein z Wiednia. R. br. Thurner z Tarnopola. K. Horowitz z Zaleszczyk.

HOTEL ŻORŻA.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 3 kwietnia. W. margrabina Gordon z Nieżuchowa. K. Agopsowicz z Chomiakówki. M. Zaleski z Podola rosyjskiego. J. Zarzycki z Siedlisk G. Mac Intosh ze Stryja. M. hr. Wolański z Pauszówki.

Nadesłane.

Lwów dnia 4 kwietnia (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 221·50 do 224·50, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 336.— do 341·—, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 450.— do —.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 100·50 do 101·20, 5 proc. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.70 101·40, Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 101·— do 101.70, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97·70 do 98·40 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·50 do 99·20, 4 proc. los. w 41 i pół latach 98·— do 98·70, 4 proc. los. w 56 lat. 97·90 do 98·60.

Wiedeń 3 kwietnia. Notowania wieczorne. Kredyty 413·50, węgierskie kredyty 476·05, anglobank 172·75, bankverein 156·40, unionbank 333.25, länderbank 293·90, staatsbahny 443·75, lombardy 112·50, elbethale 318·25, akcye tytoniowe 248·50, rima 271.50, alpiny 87·—, renta majowa 101.75, węg. renta złota —·—, austr. renta koronna —.—, losy tureckie 83.40, węg. renta koronna 99·30, marki 59.97, ruble 130.75.

Wiedeń 4 kwietnia (godz. 11 w południ.) Kredyty 413.85, kred. węg. —.—, Angiobanki 169.25, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 287.30, Akcye tyton. 248.50, Staatsbahny 454.—, Lomb. (z kup.) 112.25, Elbethale —·—, Renta p.p. —.—, Renta węg. 4% kor. —.—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —.—, Marki 59.77, Losy tureckie —·—.

60)

OSTATNI WYROK

POWIEŚĆ

MAKSWELLA GRAYA.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

Gracya słuchała z natężoną uwagą, czując szalony zamęt myśli wirujących w głowie. Nadzieje jej podnosiły się i opadały kolejno; pytała siebie w duchu, czy Adryanna doświadcza tych samych uczuć, co i ona? Wzrokiem jakby zamagnetyzowanym współczuciem i żalem wpatrywała się w napół odwrócony delikatny profil podsądnej. Nie mogła widzieć fali wzruszeń przebiegającej po tej twarzy, tylko nerwowe drżenie rąk, wspartych o żelazną poręcz, zarówno jako u sędziego, świadczyło o jej wewnętrznem wzburzeniu.

Chwilami spotęgowane zajęcie, jakie wzbudzała w lady Marlowe wzruszająca postać Adryanny, odrywało nawet jej uwagę od toczącej się sprawy. Gubiła się w domysłach nad przeszłością tej nieszczęśliwej, nad rodzajem pierwotnego wychowania, jakie odebrała, nad powolnem kształtowaniem się pojęć i wyobrażeń, które wytworzyły całość jej samodzielnego charakteru i wiodły ją przez tak dziwne koleje losów. Jakaś mucha, zwabiona słonecznym promieniem, usiadła w tej chwili na nosie oburzonego pana Sykes Simeona, potem, odpędzona, umieściła się na peruce pana Luscomba, gdzie została schwytana i zuchwalstwo swoje przypłaciła sromotną śmiercią na dnie kałamarza. Gracya, niezmiernie znużona, śledziła bezwiednie jej powietrzne loty, a lekkoskrzydły owad przeniósł jej myśli na szeroko rozesłane w słońcu zielone łany, nad któremi śpiewały skowronki, na drzewa rozkwitające majowo, na tę pełnię życia, budzącą się w przyrodzie oswobodzonej z pęt zimowych zaskrzepów, na kwietne łąki, wśród których jej własna Adzia przechadzała się swobodnie w ten rozkoszny, wiosenny poranek, gdy ta druga, „ta biedna, biedna Adzia, nie kochana przez swojego tatusia“, stała opuszczona od wszystkich swoich, blada i wylękła, wśród ponurych więziennych stróżów, wyczekując wyroku śmierci.

Czy to smutne dziewczę myślało w tej chwili o łąkach i gajach zielonych, o szemrzących strumykach i dziko rosnących kwiatach, których nigdy już oczy jej oglądać nie będą? Wydawała się bardzo zmęczoną i wspierając się lekko splecionemi rękami o poręcz, napół już obojętnie przysłuchiwała się długiemu sporowi, mającemu rozstrzygnąć o jej losach. Dwa kłócące się między sobą wróble, ćwierkając głośno i trzepocąc skrzydełkami, uderzyły z hałasem o zakratowane okno.

Uwięziona dziewczyna smutnie oczyma powiodła za niemi, a blade jej usta zdawały się szeptać:

— O! gdyby mi te ptaszęta użyczyły swoich skrzydeł, abym mogła ulecieć ztąd daleko...daleko!...

Sala napełniała się coraz szczelniej, rozeszła się bowiem wieść, że znana powszechnie pod imieniem Elfy cyrkownica, którą widywano przed kilku laty w Alcaster w białej, atłasowej spódnicze, w fantastycznym faetoniku kształu konchy perłowej, ciągnioną przez dwanaście maleńkich kucyków lub też w oryentalnym bogatym stroju, jeżdżącą na wielbłądzie, albo siadującą na lwie, z drobnemi rączkami zaplecionemi w rudej grzywie króla puszczy, miała być obecnie skazana na śmierć. Swiadkowie wymykający się z pod czujności straży policyjnej, aby iść się posilić w sąsiednich szynkach, rozpuścili między pospólstwem pogłoski o tajemniczych okolicznościach, będących w związku z rzeczoną sprawą.

Miasteczka Woodeleigh i Lescombe, znajdujące się w niezbyt wielkiem oddaleniu od Alcaster, dostarczyły kontyngensu ciekawej gawiedzi, zawsze chciwej wrażeń, a że to był dzień targowy, mnóstwo ludzi bezczynnych tłoczyło się do trybunału napływającą wciąż falą, zdającą się łaknąć krwi ofiary.

Czarne obwódki zaczęły okrążać wielkie, pałające oczy Adryanny, rysy jej twarzy ściągnęły się bólem i zmęczeniem, stając się coraz bardziej podobnemi do rysów sir Andrzeja, pełne usta zsiniały, postać wyprostowana z razu w całej swojej wysokości, zaczęła coraz bardziej się chylić, szukając podpory żelaznej poręczy. Twarz sędziego również pokrywała się siną jakąś bladością, nerwowe ruchy jego rąk wzmagały się, zapadłe oczy pałały, jakby dwie ponure gromnice; zdawało się, że w ciągu tych kilku godzin postarzał o jakie lat dziesiątek.

Akt oskarżenia i obrona skończyły się nareszcie. Długi, nużący dzień miał się ku schyłkowi. Teraz przyszła kolej na sędziego zsumować fakta i zestawić z sobą okoliczności.

Ale zdolny i wytrawny mąż sprawiedliwości nie zabierał się do dzieła z odznaczającą go zwykłą szybkością. Stał milczący, zapatrzony przed siebie, na przeciwległą ścianę, na której rysowała się ciemna sylwetka podsądnej, oczyma zdającemi się nic nie widzieć z tego, co się działo dokoła, a chwytającemi błędnie jakieś wewnętrzne, pełne grozy widmo ducha.

Upudrowane głowy umieszczonych poniżej estrady prawników przybliżały się do siebie, podobne do szarych głąbów kapusty, obdarzonych władzą ruchu; głośny szmer rozmów, szybko stłumiony, zaleciał z sali, trąbka wojskowa zabrzmiała donośną, wesołą nutą z oddalonej części budynku użytej na baraki, miarowy chód przechodzącego oddziału wojskowego dał się słyszeć z dziecińca, turkot przejeżdżających powozów zatętnił na bruku miejskim, ochrypła katarynka zagrała gdzieś w pobliżu znaną aryę włoską: „A che la morte“, dziecko jakieś zapłakało w przyległej uliczce, a białe gołębie gruchały wesoło na architrawie, trzepocąc skrzydłami w słońcu.

Wszystkie te zmięszane odgłosy i dźwięki dziwnie jasno i dobitnie odbijały się w słuchu sędziego, jakby w przedchwili mającego nastąpić wielkiego jakiegoś kryzusu, kiedy wszystkie władze ducha, skupione siłą ogólnego natężenia, nabierają szczególniejszej jasności. Ale po nad tą wrzawą ludzkiego życia górował w jego słuchu głośny, przeciągły szum spienionych fal morskich, odbijających się od wybrzeża bretańskiego, to znów cichym, melodyjnym szeptem rozlewający się u podnóża białych skał zatoki Swanborne, grzmiący łoskotem burzy łamiącej maszty okrętów, lub rozżalony i smutny, jak płacz małego dziecka, szum wzmagający się, to znów opadający chwilowo, ale zawsze szum morza, bezmiernego, jak ból ludzkiego serca.

Głowy w perukach chwiać się zaczęły coraz silniej, pochylając się ku sobie i przybierając coraz dziwaczniejsze kształty; wielki, pyłem okryty żyrandol, zwieszony od sufitu, zdawał się kołysać, jakby groził upadnięciem na ten tłum wyczekujących, zaczerwienionych twarzy, które zlały się w oczach sędziego w jedną wielką purpurową masę, przysłoniętą mglistym jakimś obłokiem.

Otworzył usta, ale były one tak spieczone i suche, że żaden głos nie mógł się wydobyć przez nie. Szmer rozmów podniósł się dwukrotnie i został przyciszony. Sir Marlowe wychylił szklankę zimnej wody z lodem i ponownie próbował podnieść głos.

A tam, na dole, ukryta wśród tłumu, siedziała Gracya z twarzą przysłoniętą rękami, modląc się gorąco.

ROZDZIAŁ XI.

Scena przed oczami sędziego zaczęła się rozjaśniać stopniowo. Morze wzburzonych twarzy ludzkich uspokoiło się, żyrandol przestał się kołysać, krwawa mgła, przysłaniająca mu wzrok, rozpierzchła się w powietrzu, za to ślady wielkiego znużenia stawały się coraz widoczniejszemi na twarzy podsądnej. Surowy profil mistress Dickson, złośliwe i pospolite twarze świadków: żony przybranego ojca Adryanny, od którego uciekła w dziecięctwie i człowieka, który zeznał, że została wypędzona z cyrku za złe sprawowanie, chłopskie, bezmyślne twarze drwala i jego żony, zarysowały się jasno w świetle zachodzącego dnia. Zegar po nad bramą głośno wydzwonił godzinę, a za nim uderzyły inne zegary miejskie. Sędziowie przysięgli zaczęli się niecierpliwić, adwokaci szemrali po cichu, nawet halabardnicy, woźni i policya zdawali się milcząco protestować przeciw niezwykłemu przedłużeniu sesyi.

Wtedy Andrzej przypomniał sobie, jak bardzo go to zawsze kosztowało, kiedy mu kazano, jako młodemu chłopcu, deklamować przed zgromadzeniem słuchaczy. Przyprawiało go to zawsze o mdłości, a trywialne wspomnienie, połączone z nieznośnem jakiemś dławieniem w piersi, nad którem z trudnością mógł zapanować, przywiodło mu na myśl inną znowu, pamiętną chwilę życia, kiedy po raz pierwszy ujrzał nowonarodzoną Andreę, zaczerwienioną, krzyczącą, z pomarszczoną skórą na twarzy i rozpłaszczonym noskiem. Nakoniec opamiętał się nadmiernym wysiłkiem woli, okiełznał swoje nerwy i zaczął sumować fakta.

Dźwięk jego własnego głosu, brzmiącego jasno, spokojnie i poważnie, dodał mu otuchy i zaufania w siebie. Myśli jego uporządkowały się; uczuł, że podniósł się po nad osobiste sprawy i potrafi spełnić trudne obowiązki swego urzędu. Namiętne pragnienie w tym kierunku doprowadziły go do tego, że uwierzył sam w niewinność podsądnej.

Nie pozostawało mu teraz nic, jak zebrać w jedną całość zeznania świadków i komentować fakta w ten sposób, aby udzielić swego przekonania sędziom przysięgłym.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni iar. W. Manieckiego, Zarządca W. Bodek.